

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 10

Jerozolima, 16 sierpnia 1943 r.

Rok I

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

PRUSY WSCHODNIE

„Nie by rządzić innymi,
Lecz by w domu z swoimi
Sprawiedliwie przełamać się
chlebem.

Wyjść na drogę i czyste
Witać niebo gwiazdziste,
I spokojnie móc spać pod tym
niebem.”
(Antoni Slonimski „Wszystko”)

O sprawie Prus Wschodnich mówiono i pisano nieraz w ciągu dwudziestolecia istnienia nowoczesnego państwa polskiego. Nie zajmowano się jednak na ogół problemem tym dostatecznie. Pokolenie z przed odzyskania niepodległości rozumiało lepiej znaczenie dla Polski zagadnienia Prus Wschodnich, niż pokolenie, które rządziło Polską Niepodległą. W okresie rokowań pokojowych w Wersalu Dmowski domagał się dla Polski Królewca. Potem, od czasu nieudanego plebiscytu w Warmii i na Mazurach, przez szereg lat sprawa wschodnio-pruska mała nękała świadomość publiczną Polski. Dopiero na parę lat przed wojną stopniowo zaczęto powracać na „tropy Smętka”. Czasem o Prusach Wschodnich przebiegała jakaś rezolucja organizacji politycznych młodzieży. Polityka oficjalna uniknęła do ostatnich chwil przed wojną drażnienia Niemców. Unikano oczywiście starannie wszelkich aluzji na temat Prus Wschodnich. Organizacje społeczne, jak np. Związek Obrony Kresów Zachodnich, rozwinęły w publikacjach swych czy odezwać cały słownik patriotyczny, wywodzący się z „Roty” Konopnickiej. Oprócz zwrotów w typie „nie damy”, „ani pędzi”, „na rubieży”, niewiele jednak można było znaleźć w tych wystąpieniach.

Spółeczeństwo polskie żyło przez lata całe w spokojnym zaufaniu, że wypadki z XVIII wieku, z okresu rozbiorów nie powtórzą się. Sprawami polityki zagranicznej zajmowano się mało. Utrzymywano w tonie mocarstwowym prasa odwracała uwagę od rozwoju wypadków na świecie. Od czasu do czasu pojawiało się powtarzane przez prasę i dyplomację polską zdanie w typie „nic o nas bez nas”, którego właściwego sensu trudno jest się domyślić, a które natomiast wystarczało dla wzbudzenia poczucia pewności w społeczeństwie polskim.

A tymczasem właśnie w Prusach Wschodnich przygotowywano zupełnie „bez nas” uderzenie, które miało być śmiertelnym ciosem w plecy.

* * *

Brak jest dostatecznie silnych akcentów, które wystarczyłyby dla opisanego roli Prus Wschodnich w historii Polski. A więc najpierw dwa stulecia walk z potęgą Zakonu Krzyżackiego, który na ziemiach, otrzymanych z rąk Konrada Mazowieckiego, buduje państwo, zagrażające istnieniu Polski. Po rozbiciu Zakonu w wieku XVI nastaje okres, w którym, jak się zdawało, sprawa Prus Wschodnich doprowadzona zostaje do właściwych rozmiarów. Książę Albert Pruski składa hołd królom Zygmuntowi Staremu. Lecz oto już pod koniec XVI wieku staje problem sukcesji po linii pruskiej Hohenzollernów. W chwili gdy dziedzictwo ich przejmuje linia brandenburska, powstaje odrazu zagadnienie połączenia oddzielonych przez polskie Pomorze obydwóch posiadłości dynastii: Prus Wschodnich i Brandenburgii. Projekty zajęcia ziem polskich dla połączenia obydwóch prowincji stają się zarazem najdawniejszymi planami podziału Polski. Projekty te snuł już w połowie XVII wieku Wielki Elektor. Na starym sztychu, zrobionym dla pierwszego króla Prus, Fryderyka I, w początkach XVIII wieku przez słynnego kartografa Jana Chrzyciela Homanna polskie województwa: Pomorskie, Chełmińskie i Malborskie (Warmińskie), oddzielające Prusy Wschodnie od Brandenburgii, oznaczone są innym kolorem niż pozostałe ziemie Rzeczypospolitej. Homann nazywa je na swojej mapie „Prussia Polonica” — Prusy Polskie, ale... Prusy. Na małym szkicu tegoż kartografa, przedstawiającym posiadłości Hohenzollernów, Prusy łączą się z Brandenburgią.

Znana jest rola Fryderyka II, jako autora planów podziału Polski. Wystąpił przez niego do Katarzyny II ks. Henryk Pruski rozbudza apetyty rosyjskie na ziemie wschodnie Rzeczypospolitej, zastrzegając dla Prus ujście Wisły, a w dalszej perspektywie całe Pomorze polskie. Jak to słusznie ocenił Fry-

deryk II, przez panowanie nad ujściem Wisły można osiągnąć władztwo nad całym leżącym w dorzeczu jej krajem. Kongres Wiedeński uznaje za uprawnione dążenia Hohenzollernów do połączenia ich prowincji. Zakreślone w 1815 r. granice włączają Pomorze do Prus. Prusy Wschodnie stają się, w zależności od koniunktury politycznej, najdalej na wschód wysuniętą prowincją niemiecką, pięścią grożącą Rosji, lub pomostem, łączącym Niemcy i Rosję, ręką wyciągniętą do zgody we wspólnym porozumieniu na trupie Polski.

Pomimo intensywnej akcji kolonizacyjnej, Niemcom nie udaje się w ciągu półtora wieku zniemczyć Pomorza. Opierając się przede wszystkim na przesłankach etnograficznych, konferencja pokojowa 1919 r. zakreśliła dla Polski dostęp do morza w granicach, zamieszkałych przez ludność polską. Pomiędzy terytorium Rzeszy a Prusami Wschodnimi stworzony zostaje „korytarz polski”.

I znowu historia się powtarza. To odziedzenie Prus Wschodnich staje się jednym z głównych argumentów o „sezonowości” pa-

tyczny ze Stresemannem. Punktem kulminacyjnym tej polityki jest Thoiry.

Wszystko to są wydarzenia znane aż do znudzenia. A jednak musimy je sobie stale przypominać, przede wszystkim dlatego, że musimy sobie dobrze uprzytomnić, iż dalszy rozwój wypadków i jednolity front antyniemiecki, który powstał w roku 1939, wynikają z błędów polityki niemieckiej, — a nie z przekonania polityków zachodnio-europejskich o słuszności też polskich w sprawie dostępu do morza.

Celem polityki Stresemanna było udowodnienie państwom zachodnim, że Niemcy nie mają żadnych zamiarów agresywnych, że godzą się na utratę Alzacji i Lotaryngii, że natomiast stan rzeczy na wschodzie, w szczególności oddzielenie przez polskie Pomorze Prus Wschodnich od pozostałego terytorium Rzeszy, jest nie do utrzymania. Polityka Stresemanna była zręczna, przewidująca. Gdyby nie przewrót hitlerowski w Niemczech, świat wierzyłby, że trzeba dla biednych Niemców coś zrobić, przede wszystkim oddać im ten nie-

W numerze:

K. Wierzyński: Msza żałobna. — A. Kotużyński: Dojrzały owoc. — Z. Kotowicz: Demokracja w walce z reakcją. — W. Brzega: Opowiadanie Jaska Wirhowego o Ziemi Świętej. — M. Jono: Od Mussoliniego do Mazziniego. — M. Petry: Erotyk. — K. Grzybowski: USA — powstanie narodu. — Z. Pogrzebu gen. Sikorskiego. — Z. polskiej literatury ekonomicznej. — J. Larren-Lenczowski: Cele wojny w świetle opinii brytyjskiej. — Z. Broncel: Noce. — T. Parnicki: Dominus Imperator et Dominus Papa. — Ik: Noakowski. — zb.: „Płynie piosenka” w Jerozolimie. Występ Teatru Polowego. — E. Mieroszewska: Malta pozostała niezwykła. — Z. Broncel: Dyllans wojenny. — Kronika polska. — Nowa polska sztuka. — em.: „Halka” w Jerozolimie. — ww.: Przegląd polityczny. — Z. prasy obcej. — „En Varsovia”.

jest jednym jeszcze dowodem, że Niemcy, nawet pozornie godząc się z prawami Polski do wybrzeża Bałtyku, nigdy naprawdę nie zrezygnują z dążenia do scalenia ziem niemieckich i że dopóki Prusy Wschodnie będą niemieckie, dopóty zagadnienie połączenia ich z Rzeszą będzie jednym z głównych postulatów polityki zagranicznej Niemiec. Co więcej, będzie to zawsze najbardziej emocjonalne, najbardziej popularne dążenie społeczeństwa niemieckiego. Nie mógł, czy nie chciał tego zmienić nawet tak nie liczący się z opinią publiczną reżim, jak hitlerowski.

W opinii świata argumenty o niemożności oddzielenia Prus Wschodnich od Rzeszy przez terytorium polskie znajdowały zawsze chętnych odbiorców. Nawet w chwili największego napięcia, gdy narody świata zrozumiały wreszcie skalę niebezpieczeństwa, grożącego im ze strony Niemiec, znajduje się jakiś Marcel Déat, który nie chce „umierać za Gdańsk”. Tak będzie i w przyszłości, o ile sprawa Prus Wschodnich nie znajdzie zasadniczego rozwiązania.

* * *

Wydarzenia roku 1939 uprzytomniły społeczeństwu polskiemu znaczenie Prus Wschodnich: granica z Niemcami o kilkaset kilometrów dłuższa wskutek enklawy wschodniopruskiej, niemożność obrony dostępu do morza. We wrześniu 1939 r. pozostające pod wodztwem v. Bocka, a operujące z Pomorza niemieckiego i z Prus Wschodnich armie Kuchlera i Klugego mogły się połączyć już w pierwszych dniach wojny w wielkim manewrze, oskrzydlałym Polskę od północy. Raz jeszcze w momencie katastrofy dziejowej Polski rola Prus Wschodnich ujawniła się w całej pełni.

I tak jak przez szereg lat sprawa Prus Wschodnich mało zajmowała opinię publiczną, w Polsce, tak dzisiaj istnieje zgodny pogląd o konieczności włączenia Prus Wschodnich do Polski. Jest to tak zwane proste rozwiązanie sprawy, które w rzeczywistości nie jest proste, ani łatwe.

Przed wszystkim sprawa Prus Wschodnich musi być odpowiednio ustawiona w hierarchii celów i dążeń Polski. Od trzech przeszło stuleci Polska nie prowadziła wojen zaczepnych, nie dążyła do podbojów terytorialnych. Społeczeństwo polskie wychowane jest w tradycjach wolnościowych. Uznaje również prawa innych narodów do wolności i własnej siedziby. Prusy Wschodnie są krajem niemieckim, zamieszkałym przez ludność niemiecką. W obronie przed zabobrością niemiecką i przed bezustannym fałszowaniem historii dla celów politycznych przez naukę niemiecką rozwinęły się u nas studia nad Słowiańszczyzną Zachodnią. Sprawa Prus Wschodnich znalazła się gdzieś w jednym szeregu z mającymi już wyjątkowo historyczną wartość stwierdzeniami, że Berlin zbudowany jest na miejscu osady słowiańskiej, lub że na Rugii rosną gaje Światowida. Jeśli chodzi o rozumowanie polityczne, opierające się o te badania historyczne, to spotykamy w nich podobne błędy, które doprowadzone do karykaturalnych rozmiarów są u podłoża wykrzywionego poglądu na świat społeczeństwa niemieckiego. Może sobie Niemcom wystarczać, że gdzieś w jakimś mieście ratusz czy kościół zbudowany został przez Niemca, by udowodniać, że miasto to, zamieszkałe przez ludność nie-niemiecką, jest właściwie miastem... niemieckim. Nam nie może wystarczać, że ziemia gdzieś pod Szczecinem przechowuje kości książąt słowiańskich, by zgłaszać pretensje do Szczecina. Nie należy mieszać starych baśni z rzeczywistością polityczną. Przyszłe państwo polskie nie może mieć granic, wysuniętych zbyt daleko na zachód, bo są to ziemie, zamieszkałe gęsto przez ludność niemiecką. Nie powinniśmy mieć wielomilionowej mniejszości niemieckiej, — byłoby to groźne dla istnienia państwa polskiego. Młynem jest również pogląd, że należy żądać wiele, by wogóle coś dostać. Tego rodzaju względy taktyczne nie istnieją. Nadmierne żądania mogą nam przyczynić niesłuszną opinię narodu agresywnego. Są one poza tym wodą na młyn różnych innych propozycji, które namawiają nas, byśmy się „posunęli”, tym razem nie na wschód, a na zachód. W rezultacie taki Wells pisze złośliwie, że Polacy przemysłują tylko nad tym, jak wykreślić swoje przyszłe granice.



Na starym sztychu, zrobionym dla pierwszego króla Prus, Fryderyka I, w początkach XVIII wieku przez słynnego kartografa Jana Chrzyciela Homanna, polskie województwa: Pomorskie, Chełmińskie i Malborskie (Warmińskie), oddzielające Prusy Wschodnie od Brandenburgii, oznaczone są innym kolorem niż pozostałe ziemie Rzeczypospolitej.

stwa polskiego, posiadającego „niemożliwe” granice. Cały wysiłek polityki i propagandy niemieckiej zostaje skierowany na udowodnienie, że tak wykreślone granice nie są do utrzymania, że nie można oddzielić jednej z prowincji od terytorium Rzeszy. Polityka ta, prowadzona w okresie, gdy świat szukał okazji do dopomożenia „biednym Niemcom”, do wyjścia z ich trudnej sytuacji politycznej i gospodarczej, po przegranej wojnie, daje swoje rezultaty. Coraz to jakiś członek parlamentu francuskiego czy angielskiego podróżuje na Pomorze i do Prus, by wypowiadać się później za koniecznością naprawienia tego „błędu” traktatu wersalskiego, jakim było stworzenie „korytarza polskiego”. Piszcie o tym prasa, dyskutują dyplomaci. Sir Austin Chamberlain, brytyjski minister spraw zagranicznych, pisze w roku 1925, że „żaden rząd brytyjski nie będzie chciał ani mógł ryzykować dla „korytarza polskiego” kości grenadierów brytyjskich” (*). Francuski minister spraw zagranicznych Aristide Briand prowadzi flirt poli-

*) Cytowane wg. książki prof. Henryka Tenenbauma „Europa Środkowo-Wschodnia w gospodarce światowej”. Londyn, M. Kolin, 1942.

tyczny „korytarz polski”. Przy zręcznej polityce Niemcy mogły uzyskać wiele dla siebie, aż mocarstwa zachodnie ocknęłyby się w chwili, gdy byłoby już zbyt późno. Hitler swymi krzykami, groźbami i polityką agresji, niczym nie maskowanej, zaalarmował świat, uspijony zapewnieniami Stresemanna. Hitler próbował odwrócić politykę Stresemanna. Po układzie polsko-niemieckim z roku 1934 chciał namówić Polskę na wojnę z Rosją, uznawał istniejącą dla Polski konieczność dostępu do morza (mowa w Reichstagu 7 marca 1936 r., w Sportpalastie 26 września 1938 r.). Różni jego wysłannicy proponują Polsce, by się „posunęła”, t. j. by Niemcy mogły odzyskać Pomorze, a Polska w zamian za to wzięła Litwę. Sprawa Pomorza zostaje zdjęta ze szpał dzienników niemieckich. Niemcy dążą w tym okresie czasu do zatarcia kwestii spornych w stosunkach z Polską. Była to polityka koniunkturalna, nieszczerza. Ale założmy na chwilę, że Hitler w dobrej wierze wygłaszał swe przemówienia o potrzebie dostępu do morza dla Polski. W świetle dalszych wypadków: niemieckich żądań pod adresem Polski z roku 1939, cała polityka niemiecka z lat 1933-1938

O przyszłych granicach mamy prawo i powinniśmy myśleć. Powinniśmy myśleć, jak zbudować gmach państwa polskiego, by nie wydawał się tworem zbyt sezonowym. zbyt łatwym do zaatakowania. Powinniśmy myśleć o tym, jak uniknąć stałego przelewu krwi w obronie całości i niepodległości Polski.

W tych rozważaniach sprawa włączenia do Polski Prus Wschodnich wysunie się na pierwsze miejsce zadań, które stają przed nami. Nie dlatego, że mamy do ziem tej takcie czy inne prawa historyczne, nie dlatego, że ludność Prus Wschodnich ma wielką domieszkę krwi słowiańskiej, a wiele miejscowości nosi nazwy polskie, lecz dlatego, by w przyszłości „spokojnie móc spać pod niebem“.

* * *

Dotychczasowe próby rozwiązania sprawy Prus Wschodnich przez Polskę kończyły się zawsze na jakimś układzie połowicznym. Połowiczne były postanowienia traktatu toruńskiego z roku 1466. Połowiczne korzyści Polsce dawał hołd księcia Alberta z roku 1525. Dla połowicznego sukcesu dyplomatycznego: odciągnięcia elektora brandenburskiego od sojuszu ze Szwedami, — Polska zrzeka się w traktacie welawsko-bydgoskim w r. 1657 suwerenności nad Prusami Wschodnimi. Nie rozwiązuje sprawy Prus Wschodnich przymerze polsko-pruskie z epoki Sejmu Czteroletniego, ani też utworzenie z rozbitych Prus Księstwa Warszawskiego. Połowicznie załatwiony zostaje problem dostępu do morza dla Polski w Traktacie Wersalskim z roku 1919.

Przyszłe rozwiązanie sprawy Prus Wschodnich nie może być połowiczne. Inaczej nie zniknie niebezpieczeństwo, wiszące nad Polską.

Nie wystarczy włączyć Prusy Wschodnie do Polski. Trzeba, by nie było tam ludności niemieckiej, której istnienie stanowić będzie dla Niemiec zachętę do prób odebrania Polsce Prus Wschodnich, a i Pomorza.

Przy wszystkich teoriach o słowiańskości ludności wschodnio-pruskiej olbrzymia jej większość — to Niemcy. Przy tym, jak zwykle na kresach, zagrożonych przez wynarodowienie, ludność Prus Wschodnich nastrojona jest patriotycznie, czy nawet szowinistycznie. O spolszczeniu jej nie może być mowy. By Prusy Wschodnie miały ludność polską, trzeba wysiedlić ludność niemiecką, a na miejsce jej osadzić ludność polską.

Prusy Wschodnie mają blisko 37 tysięcy kilometrów kwadratowych z ludnością, sięgającą 2.400.000.

Uświadomienie sobie tych cyfr daje nam obraz zadania, które stanęło przed Polską w chwili przyłączenia do niej Prus Wschodnich.

W stosunku do Niemiec Prusy Wschodnie miały zawsze sytuację specjalną. Nie stanowiły one nigdy, jak np. Brandenburgia, części składowej Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Były one pozostawione „na stronie“ posiadłością domu Hohenzollernów, niezłączoną z Cesarstwem Niemieckim nawet wówczas, gdy przestały być lennem Polski. Nie zmieniło tego stanu rzeczy zagarnięcie przez Prusy w końcu XVIII w. Pomorza Polskiego i przyłączenie Prus Wschodnich do pozostałych ziem Hohenzollernów. Prusy Wschodnie pozostają w dalszym ciągu rodzajem kolonii niemieckiej, wyodrębnionej prawnie i gospodarczo ze wspólnoty państw niemieckich.

Przez swą politykę kolonizacyjną Fryderyk II próbuje związać ściśle Prusy Wschodnie z Brandenburgią. Po wojnach napoleońskich Prusy Wschodnie, przedzielone granicą celną od Królestwa Kongresowego, nie biorą udziału w jego rozwoju gospodarczym. Nie rozwijają się również w miarę wzrostu potęgi gospodarczej Niemiec.

Po wojnie roku 1870/71 Niemcy przechodzą okres bujnego rozkwitu przemysłu. Prusy Wschodnie pozostają daleko w tyle poza rozwojem gospodarczym pozostałych dzielnic Rzeszy.

Powersalskie, „demokratyczne“ Niemcy okazują się nie mniej czułe na dół wschodnio-pruski jak Niemcy cesarskie. Miliony marek wędrują w postaci różnych zapomóg dla Prus Wschodnich. Wyraźnie decydują o tym motywy polityczne. Chodzi o utrzymanie za wszelką cenę prowincji, która może się stać w przyszłości bastionem wypadowym Niemiec na wschodzie. Specjalny program t. zw. „Osthilfe“ stanowi cały etap w polityce wschodnio-pruskiej Republiki Weimarskiej. W szczególności dopomaga się rolnictwu, by utrzymać ludność Prus Wschodnich na ziemi. I te olbrzymie środki nie wystarczają jednak. Według danych prof. Szturm de Sztrema, w okresie 1925-1933 ze wsi w Prusach Wschodnich wyemigrowało około 140 tysięcy osób. Z tego około 90 tysięcy poza granice Prus Wschodnich, a 50 tysięcy przeniosło się do miast w tej samej prowincji. Prusy Wschodnie pozostają terenem wywozu artykułów przemysłowych z Rzeszy, ułatwionego przez ulgowe taryfy kolejowe i ułatwienia kredytowe. Polityka pomocy gospodarczej Prusom Wschodnim przyczynia się do podniesienia poziomu życia tamtejszej ludności, nie doprowadza jednak do poprawy struktury gospodarczej tej dzielnicy. Do ostatnich lat Prusy Wschodnie są tylko kolonią Rzeszy, odbiorcą jej towarów — prowincją deficytową gospodarczo.

Zmiana tego stanu rzeczy może nastąpić jedynie wtedy, gdy Prusy Wschodnie przyłączone będą do Polski, gdy porty ich staną otworem dla polskiego handlu, gdy przemysł drzewny dostawać będzie do przetarcia i dal-

szej obróbki polskie drewno, gdy młyny mleć będą polskie zboże, gdy rolnictwo Prus Wschodnich dostarczać będzie szeregu artykułów do Warszawy i innych miast polskich.

Niemiecka ludność Prus Wschodnich powinna opuścić swe siedziby, zostawiając w nich wszystko, tak jak ludność polska wysiedlana przez Niemców z Ziemi Zachodnich. I to nie dla zadośćuczynienia uczuciu zemsty. Dobytek Prus Wschodnich powinien być główną formą zapłaty odszkodowań wojennych za zniszczenia, poczynione przez Niemców w Polsce. Jednakże nie jest w naszym interesie, by ludność z Prus Wschodnich wysiedlana była do Niemiec na zupełną nędzę. Zaostrzy to znacznie sprawę przesiedlenia i utrwali dążenia odwrotowe wśród ludności, która będzie chciała wrócić do swego. Traktat pokojowy powinien przewidywać formę odszkodowania, wypłacanego przez rząd niemiecki ludności wschodnio-pruskiej za opuszczenie siedzib.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

MSZA ŻAŁOBNA

Ukłękło tysiące ludzi
I w łukach modli się tumu:
Daj nam to, Boże, zrozumieć
I w uniesieniu ogarnąć,
Na co już nie ma rozumu.

Modlimy się za porwanych, za umęczonych, za zmarłych,
Nad Amu-darią, Irtyszem i na odludziach Syberii,
Na Nowej Ziemi, gdzie znikło siedem tysięcy więzionych,
Na tych przestrzeniach, podobnych do niewymiernej przepaści,
W którą zepchnięto miliony i w której skarga zamarła,
Chociaż ten chorał straszliwy, gdyby wybuchnąć mógł z gardła,
Poraziłby uszy świata.

Modlimy się za niewinnych.

Boże, coś walkę z ciemnością
Nakazał hufcom aniołów,
Któryś odebrał bezbronnym
Ostatni od boku bagiet
I z lufy ostatni ołów.

Modlimy się za żołnierzy, żołnierzy Wilna i Lwowa,
Pojmanych w napaści z tyłu, zdradzieckiej i judaszowej,
Kiedy nie mieli już nawet okrutnych praw każdej wojny,
Która pozwala zabijać, aby samemu nie zginąć.
Żołnierzy w łagrach śmiertelnych, żołnierzy w bagnach zatrutych,
Żołnierzy w łodach kamiennych, żołnierzy bitych i skutych,
Żołnierzy naszej wolności.

Modlimy się za niewinnych.

Daj poznać zło i nie pytać,
Czemu się nigdy nie zmienia,
Boże, coś wszystkim najlepszym
Nad ułomnością doczesną
Stał się ludzkiego sumienia.

Modlimy się za najbliższych, imiona marzną nam w ustach,
Za wywiezionych w pociągach, nie wiedząc w jakim kierunku,
Za utraconych bez wieści w pustkowiach, na osiedleniu,
W jurtach, gdzie siostra jest naszą matką kirgiskich bękartów,
W stepach, gdzie plewy pożywnej dzieci szukają w nawozie,
Za bezimienną kalwarię, w codziennej conocnej grozie
Prześladowanych uparcie.

Modlimy się za niewinnych.

Lekarzu, coś trędowatych
Z cielesnej oczyszczał skazy,
Spójrz, jak ich los odczłowiecza,
Omdlałych z głodu, ginących
Od nieleczonej zarazy.

Modlimy się za męczarnie chorych bez dachu nad głową,
Tych, którym skorbut zagnoił usta zgniłymi działkami,
Tych, którym nogi opuchły, sine i bosc na mrozach,
Tych, co w gorące tyfusu napróżno jęczą o napój,
Tych, nad którymi się każdy wszędzie i zawsze pochyli,
A których tam nawet w śmierci, w ostatniej męczenniczej chwili
Opuścił Samarytanin.

Modlimy się za niewinnych.

Światło nad ziemią rodzinną,
Blasku zachodów i wschodów!
Przebij tem mrok niepojęty,
Co czarną spada powieką
Na oczy twoich narodów.

Modlimy się za Polaków męczonych, bo byli z Polski,
Za Żydów rozstrzeliwanych, bo mieli z nami ojczyznę,
Za Ukraińców zesłanych, bośmy pospołu osiedli,
Za wszystkich bliźnich po kraju, po ojcach ich i po matkach,
Za owoc tej samej ziemi, ludzi tej samej przyrody,
Za wszystkich z naszego domu.

Modlimy się za niewinnych.

Usłysz nas, Panie, i zbaw ich,
Którzy wyzbyli wolności,
Obewładnieni przemocą,
Życia nie mają własnego
I grobu dla własnych kości.

Modlimy się za nich wszystkich, stąd gdzie się modlić możemy,
Gdzie wolność pozwala myśleć myślom każdego człowieka
I serce bije tym ruchem, którymś je popchnął do życia —
Panie świetlisty w ciemności, dobro ludzkiego sumienia,
Modlimy się stąd do Ciebie, prosimy, świętej opieki,
Boże coś Polskę swą tarzać przez liczne ośłaniał wieki.
Wyprowadź lud swój z niewoli.

Przedruk z nr. 14 nowojorskiego, „Tygodnika Polskiego“ z dn. 11 kwietnia 1943.

Wypłatę tych odszkodowań, lub przynajmniej kontrolę nad ich funkcjonowaniem powinny na siebie wziąć władze polskie, gdyż rząd niemiecki będzie napewno dążył do wykazania światu „krzywd“, wyrządzanych przez Polaków ludności wschodnio-pruskiej. Wskutek tego będzie wolał, by ludność ta pozostawała w biedzie po przesiedleniu do Rzeszy.

Niemcom nie udają się eksperymenty z kolonizacją polskich Ziemi Zachodnich. Tworzenie gospodarstw rolnych niemieckich idzie tam niesporo. Ale Niemcy są w zupełnej innej sytuacji niż my. Niemcom brak jest ludności rolniczej. Przesiedleni z krajów bałtyckich czy z Rumunii Niemcy rekrutują się w znacznej większości z ludności miast (poza Niemcami bessarabskimi). Osiedlanie ludności miejskiej na roli jest eksperymentem trudnym, zwykle skazanym na niepowodzenie. Polska ma około 8 milionów „zbędnej“ ludności rolniczej. W Prusach Wschodnich, przy obecnej strukturze własności rolnej, jest około 1 mi-

liona mieszkańców, żyjących z rolnictwa. Przy parcelacji wielkich warsztatów rolnych (powyżej 50 ha), których obszar stanowi przeszło połowę ziem użytkowanych rolniczo w Prusach Wschodnich, oraz przy parcelacji niektórych gospodarstw wielko-chłopskich na mniejsze na terenie Prus Wschodnich stworzyć można wielką ilość nowych gospodarstw chłopskich. Jeżeli poza tym uwzględnić, że przeciętna rodzina chłopska w Polsce jest liczniejsza od rodziny chłopskiej w Prusach Wschodnich, wówczas nie będzie przesadnym twierdzenie, że tam gdzie dzisiaj żyje z rolnictwa milion osób, będą mogły egzystować dwa miliony.

Przesiedlenie z przeludnionych rolniczo ziem polskich dwóch milionów ludzi do rolnictwa w Prusach Wschodnich, dalsze możliwości, które powstaną przez wysiedlenie z Prus Wschodnich ludności miast i miasteczek, wreszcie polityka uprzemysłowienia kraju, mogą rozwiązać problem, który najwięcej ciążył na rozwoju gospodarczym Polski: sprawę przeludnienia wsi. Można będzie myśleć o poprawie wadliwej struktury gospodarczej rolnictwa w Polsce przez akcję scalenia nadmiernie rozdrobnionych gospodarstw. Będzie można może nawet myśleć o wprowadzeniu w życie ustawy o niepodzielności gospodarstw rolnych poniżej pewnej wielkości, która to ustawa w warunkach przeludnionej wsi i braku możliwości odpływu dla nadmiaru rąk robotniczych ze wsi nie jest możliwa do realizacji. Włączenie Prus Wschodnich do Polski miałyby nie tylko wielkie znaczenie strategiczne i polityczne, ale i gospodarcze.

Prusy Wschodnie w ramach państwa polskiego nie będą wcale musiały być prowincją deficytową. Deficytowość Prus Wschodnich wynikała ze sztucznie utrzymywanego przez Niemców wysokiego poziomu życia tej dzielnicy. Po przyłączeniu do Polski poziom życia obniżył się do warunków polskich, znacznie niższych niż niemieckie. Równocześnie jednak dla Prus Wschodnich powstaną możliwości normalnego rozwoju gospodarczego. Gęstość zaludnienia ich wzrośnie. Obecnie jest ona znacznie niższa od gęstości zaludnienia otaczających je ziem polskich. Zamiast niecałych 2 i pół miliona Niemców, od początku będzie mogło zamieszkać w Prusach Wschodnich przeszło 3 miliony Polaków.

Jest to niewątpliwie wielka operacja przesiedleniowa. Lecz po wojnie 1920 r. do Polski wróciło z Rosji około 1,200.000 ludzi, nie licząc reemigrantów z innych krajów. Dla tak silnego organizmu gospodarczego jak Niemcy przyjęcie dwóch milionów przesiedleńców z Prus Wschodnich jest rzeczą łatwiejszą, niż dla Polski było wchłonięcie znacznej liczby repatriantów z Rosji. Niemcom brak stałe jest robotników rolnych. Będą mogli potrzebne w rolnictwie ręce znaleźć wśród ludności Prus Wschodnich.

Wszystko to razem nie jest łatwe. Wymaga wielkiego wysiłku. Przemyslanego w szczegółach planu działania. Wymaga jednak przede wszystkim decyzji. Musimy się zdobyć na akcję, która stoi w sprzeczności z naszymi tradycjami, z ideałami, które są treścią życia duchowego Polski. Wbrew temu co się o nas ostatnio mówi — my naprawdę nie jesteśmy „imperialistami“. A jednak musimy się zdobyć na takie rozwiązanie sprawy poto, by nasze dzieci mogły spokojnie mieszkać w zbudowanych przez nas domach, by nasi synowie nie potrzebowali za następne dwadzieścia lat krwawą swoją bronią prawa do miejsca pod słońcem.

Musimy też podjąć się trudnego dzieła przekonaania o potrzebie tego rodzaju rozwiązania sprawy wschodnio-pruskiej naszych sojuszników. Nie będzie to zadanie tak łatwe, jak to się czasem niektórym wydaje. Po trzech latach wojny prof. Renner w amerykańskim miesięczniku „Collier's Magazine“ proponuje nowy podział Europy, w którym przewiduje twór, zwany przez niego „Czecho-Polską“, sięgający na północ poprzez włączoną do Litwy aż do granic Łotwy, ale zato Pomorze miało przypaść Niemcom. Były prezydent Hoover i p. Hugh Gibson, w swej wydanej w 1942 r. książce p. t. „The Problems of Lasting Peace“ przyznają wprawdzie, że wymiana ludności między Turcją a Grecją wydatnie się przyczyniła do poprawy stosunków obu krajów i że przesiedlenia są lepsze od pozostawiania nierozwiązanych problemów mniejszości narodowych, lecz równocześnie przestrzegają przed pokojem, który byłby zbyt surowy. Pokój, który zbudowany zostanie z myślą o ukaraniu jakiegoś narodu, będzie, według autorów tej pracy, nietrwałym. Myśl o odwecie będzie jedną z najniebezpieczniejszych sił, działających w czasie konferencji pokojowej. Wydaje się, że praktycznym sensem tej książki jest dążenie, by „biedne Niemcy“ nie zostały znowu ukarane. Wielu Anglikom także jest obca myśl o jakimś trwałym rozwiązaniu sprawy Prus Wschodnich. By dojsć do tego, będziemy musieli odbyć wielką drogę przygotowania opinii światowej. Zawsze bowiem części naszych sojuszników projekt włączenia Prus Wschodnich do Polski będzie się wydawał niezgodny z duchem Karty Atlantycznej.

Dla nas zaś jest rzeczą jasną, że napewno nie jest zgodny z Kartą Atlantyczną taki stan rzeczy, który prowadzi do stałych wojen. Pa-sożytnicza wyspa niemiecka na ziemiach polskich—Prusy Wschodnie, musi zniknąć. Naród polski musi otrzymać możliwości spokojnej, pokojowej pracy, postępu kulturalnego i gospodarczego, nieprzerwanego groźbą wojny. Uzyskanie Prus Wschodnich dla Polski, stworzenie z nich ziemi, zamieszkałej przez ludność Polski — to największe, najważniejsze zadanie naszego pokolenia.

ANTONI KOTIŹYŃSKI

DOJRZAŁY OWOC

Prusy Wschodnie były zawsze źródłem nieustannych trosk i kłopotów dla kierowników polityki gospodarczej Niemiec.

Prowincja ta, stanowiąc w całości Rzeszy Niemieckiej najbardziej odległe „Kresy Wschodnie”, w strukturze swej gospodarczej była i pozostała czymś odrębnym, okręgiem, który nie nadążał za rozwojem innych.

Mieszkańcy tej prowincji, mając wysokie aspiracje do odgrywania wybitnej roli politycznej, domagali się zawsze przywilejów gospodarczych, oczywiście kosztem skarbu państwa, kosztem świadczeń ze strony życia gospodarczego innych terenów. Stąd obopólne niezadowolenia i kwasy.

Konserwatywno-ziemiańskie sfery Prus Wschodnich, czyli osławieni junkrowie, chlubi się tradycje krzyżackie i po dziś dzień nie wypuścili z ręki całkowitego nieomal monopolu na wyższe, kierownicze stanowiska w armii, a nadają ton całemu korpusowi oficerskiemu. Na to czuły jest każdy bez wyjątku Niemiec i tu ma swe źródło fakt, że żaden parlament niemiecki, żaden rząd nie ośmielił się odmówić pomocy tym zasłużonym w swym materialnym bycie potomkom twórców państwa niemieckiego i jego obrońcom.

Gospodarczo, istotnie, nie zawsze dobrze im się działo; pod tym względem prowincja ta była i nie przestaje być zacofaną i wybitnie deficytową.

Przypatrzmy się tym rzeczom bliżej.

Obszar Prus Wschodnich wynosi 36,992 km², co stanowi 7,85% obszaru całej Rzeszy w granicach Traktatem Wersalskim ustalonych, a 6,7% obszaru tejże Rzeszy wraz z anektowaną Austrią. Dla lepszego uziarnienia sobie wielkości tego obszaru podać należy, że w stosunku do Polski (389 tys. km²) obszar Prus Wschodnich stanowi 9,5% i równy jest mniej więcej obszarowi naszego województwa Południowego (36,7 tys. km²).

Ludność Prus Wschodnich według spisu z 1933 r. wynosiła 2.333.000 mieszkańców, co znów w stosunku do ludności całej Rzeszy w granicach powersalskich stanowi tylko 3,54%, podczas gdy obszar wynosi 7,85% całości. Gęstość zaludnienia Prus Wschodnich wynosiłaś 63,1 mieszkaniec na km², podczas gdy przeciętna dla całej Rzeszy wynosi 140,3, a dla jej okręgów wysokoprzemysłowych, jak np. Nadrenia — 318, a Zagłębie Saary — aż 424.

Pod względem zagęszczenia ludności Prusy Wschodnie wyprzedzają tylko nasze cztery województwa wschodnie, które na łącznym obszarze swoim liczą przeciętnie 45 mieszkańców na km² — oraz województwo Białostockie — 51 mieszk. na km². Wszystkie pozostałe nasze jedenaście województw są zamieszkałe gęściej, przyczym niektóre z nich bardzo znacznie, jak np. Krakowskie (132 m. na km²), Kieleckie (115 mieszk. na km²), nie mówiąc już o uprzemysłowionym Śląsku (307 mieszk. na km²).

Charakterystyczną cechą zaludnienia Prus Wschodnich jest poza tym fakt, że ludności rolniczej wykazują tam statystyki 42,2%, a przemysłowej i rzemieślniczej — 21,6%, podczas gdy odsetki te w przecięciu dla całej Rzeszy wynoszą: dla ludności rolniczej tylko 21%, a przemysłowej i rzemieślniczej — 38,8%.

Rozwój stosunków ludnościowych Prus Wschodnich jest, doprawdy, bardzo znamienity. Czerpiąc dalej wiadomości z urzędowych statystyk niemieckich, stwierdzamy, że gdy w całej Rzeszy w jej dawnych granicach od roku 1871 do 1910 ilość ludności wzrosła z 41 milionów do 64 milionów, czyli o 56%, w Prusach Wschodnich w tym samym okresie ludność wzrosła z 1,82 milionów do 2,06 milionów czyli zaledwie o 13%.

Skądże to pochodzi? Według innych źródeł, zawsze urzędowych niemieckich, okazuje się, że w tym czasie wyemigrowało z Prus Wschodnich do prowincji zachodnich Rzeszy blisko 770 tys. mieszkańców i że ucieczka ta nie ustała również i po zakończeniu poprzedniej wojny, gdyż od r. 1919 do 1925 wyemigrowało dalszych 158 tysięcy.

Z zestawienia tych cyfr, wynika że ponad 80% naturalnego przyrostu ludności Prus Wschodnich pochłania emigracja.

Prusy Wschodnie zatem relatywnie wydłużają się. Ale mało tego. Według źródeł niemieckich ilość mieszkańców Prus Wschodnich, mówiących po polsku, wynosiła w r. 1910 263.888. — Według tych samych źródeł w r. 1925 spadła ona do niespełna 100.000. Spadek ten musimy niewątpliwie zawdzięczać „ściślejszym” i „ulepszonym” metodom statystycznym niemieckim, stosowanym w okresie już po poprzedniej wojnie.

Błoński („Wracamy nad Odrę”) oblicza ludność polską w Prusach Wschodnich na co najmniej 500 tysięcy, a na drugie tyle — ilość Polaków zniemczonych, względnie ludności pochodzenia polskiego.

W bezstronności niemieckiej statystyki urzędowej wierzyć nie możemy. Wiadomą jest rzeczą, że przyrost naturalny wśród ludności polskiej, zamieszkałej w Prusach Wschodnich, na wsi przeważnie, jest stosunkowo większy niż wśród ludności niemieckiej. Dalej ludność polską cechuje znacznie większe niż wśród Niemców przywiązanie do ziemi. Wreszcie ludność ta, emigrując na zachód Niemiec w poszukiwaniu zarobków, natrafia na poważne

trudności. Wszystkie te czynniki, każdy z osobna jak i razem wzięte, powodują, że odsetek ludności polskiej w Prusach Wschodnich wzrasta stale, nie bacząc na pocieszające laików cyfry urzędowych statystyk. Jeżeli statystyki te odpowiadają prawdzie, to w jakim celu demografowie niemieccy i badacze rozwoju stosunków gospodarczych biją stale na alarm, wykazując, że kraj może spolonizować się sam przez się, że przeciwdziałać należy temu stosowaniem nadzwyczajnych, bardzo radykalnych środków?

Układ stosunków ludnościowych i gospodarczych, jak zawsze tak i tu, wzajemnie na siebie oddziałują, tworząc spłot przyczyn i skutków.

Przemysł w Prusach Wschodnich jest bardzo słabo rozwinięty. Prof. E. Szturm de Sztrem' stwierdza, że z Prus Wschodnich w dziedzinie wyrobów przemysłowych wywozi się jedynie papier. Tłumaczy się to wysokim stopniem zalesienia prowincji. Natomiast wszelkie inne wyroby przemysłowe są do Prus Wschodnich przywożone. W zakresie materiałów budowlanych np. przywozi się nie tylko cement, ale nawet tak mało wartościowe w stosunku do wagi i objętości wyroby, jak cegły, rury gliniane, rurki drenarskie i t. p.

Prusy Wschodnie posiadają nadwyżki z produkcji rolnej, ale również nie we wszystkich jej gałęziach. Z płodów ziemi wywozi się w większych ilościach zboże oraz drzewo w stanie półobrobionym i obrobionym. Najważniejszą pozycją wywozową są zwierzęta żywe, w tym głównie trzoda chlewna. Z przetworów artykułów rolnych wywozi się trochę spirytusu i cukru. Natomiast przetwory zwierzęce i tłuszcze są przywożone.

Wszystko to wskazuje na niski niezmiernie stan uprzemysłowienia. Rolnictwo wywozi swe artykuły w stanie nieprzerobionym głównie, w postaci surowca, t. j. zboża i zwierząt żywych, a więc zmuszone jest wywozić najmniej racjonalnie. Duży wywóz zwierząt żywych wskazuje poza tym na istnienie ekstensywnych gospodarstw pastwiskowych, do której to sprawy wrócimy jeszcze.

Słabe uprzemysłowienie prowincji przyczynia się do emigracji; wysokie zarobki w przemyśle niemieckim, skoncentrowanym wokół źródeł surowca i energii na Śląsku, w Zagłębiu Ruhry i innych, nęca ludność, która niechętnie oddaje się pracy na roli w warunkach naturalnych trudnych, w ostrym klimacie, na stałych lub też ciężkich do uprawy glebach. Poza tym pamiętać należy, że ludność rolnicza Prus Wschodnich, to w znacznym odsetku robotnik rolny, a nie osiadły na własnej gospodarce chłop, gdyż struktura rolna wykazuje bardzo znaczne odsetki gospodarstw wielkoeksploatacyjnych i gospodarstw wielkoeksploatacyjnych. Brak robotnika powoduje, że możliwości intensyfikacji rolnictwa oparte są na bardzo słabych podstawach.

Wielkie zapotrzebowanie na sezonowych robotników polskich w Niemczech powodowane było brakiem rąk do pracy przede wszystkim w rolnictwie Prus wschodnich i innych wschodnich okręgach Rzeszy. W tych właśnie okręgach spotykał się nasz robotnik z poważnym odsetkiem polskiej ludności wiejskiej. Już za czasów rządów hitlerowskich poczęto w tym dopatrywać się ze strony niemieckiej wielkiego niebezpieczeństwa, skierowywano więc naszych robotników do innych okręgów, — a po ich nasyceniu, ściągano robotników niemieckich do Prus Wschodnich. Manipulacje te, podyktowane względami politycznymi, były nonsensem gospodarczym, podważały bowiem kosztą robocizny.

Jak wspomnieliśmy, strukturę agrarną Prus Wschodnich cechuje wielki odsetek większej własności i gospodarstw wielkoeksploatacyjnych. Gospodarstwa o obszarze powyżej 20 ha zajmują 73,1% ogólnego obszaru użytków rolnych (bez lasów). Jedynie Pomorze pruskie wykazuje cokolwiek większy odsetek. We wszystkich innych prowincjach Niemiec trzon główny stanowią gospodarstwa drobne.

W Polsce do chwili wybuchu wojny obecnej prowadziliśmy dość intensywnie przebudowę ustroju rolnego w kierunku przesunięcia wiadania ziemią z rąk większej do rąk drobnej własności. Ale już w chwili rozpoczęcia przebudowy tej, wg. spisu z r. 1921 („Mały Rocznik Statystyczny”), obszar użytków rolnych w Polsce, będących w posiadaniu gospodarstw powyżej 20 ha, stanowił 37% ogólnego obszaru tych użytków, a więc połowę tego, co w Prusach Wschodnich. Stąd widzimy, że prowincja ta w porównaniu z zachodnimi terenami Rzeszy i tak samo w porównaniu z Polską posiada charakter wybitnie obszarniczy. Zanim znajdziemy wyjaśnienie tego stanu rzeczy, przypatrzmy się jeszcze możliwościom i siłom produkcyjnym rolnictwa wschodniopruskiego.

Prof. M. Sering w pracy swej p. t. „Deutsche Agrarpolitik” podaje mapkę, która dzieli Rzeszę na szereg stref pod względem kierunku i stopnia intensywności produkcji rolnej. Na mapie tej Prusy Wschodnie w dwóch trzecich swego obszaru zaliczone są do strefy upraw polno-pastwanych, a w pozostałej jednej trzeciej do strefy ziemniaczanej. Bardzo nieznaczny tylko obszar zachodni, przylegający do terytorium Wolnego Miasta Gdańska, figuruje jako strefa pszenno-buraczana. Na tere-

nie Prus Wschodnich znajduje się wiele jezior oraz bagien i moczarów częściowo tylko zmeliorowanych. Prof. Szturm de Sztrem w cytowanym już artykule pisze, że: „25% obszaru Prus Wschodnich znajduje się pod wodą lub pod bezpośrednim jej działaniem”.

Te kilka cyfr tłumaczy nam skąd pochodzi wysoki wywóz bydła rzeźnego. Liczne łąki i pastwiska stanowią naturalną podstawę rozwoju gospodarstw hodowlanych na zasadach ekstensywnej gospodarki pastwiskowej oraz chowu bydła w kierunku mięsnym, gdyż słabe zaludnienie, mały odsetek ludności miejskiej nie sprzyjają rozwojowi kierunku mlecznego.

W uprawie zbóż główną rolę odgrywa żyto. Potem idą w kolejności obszar zasiewów — owies, ziemniaki, jęczmień. Pszenica i buraki zajmują minimalny obszar. Konieczna i lucerna w uprawach polowych idą pod względem obszaru zasiewów bezpośrednio po życie.

Spróbujemy teraz zestawzić poszczególne czynniki, które składają się na układ stosunków gospodarczych w Prusach Wschodnich i wyciskają piętno na jego rolnictwie.

Warunki przyrodnicze — gleby mało zasobne, częściowo piaszczyste, częściowo podmokłe i trudne do uprawy; klimat ostry o krótkim okresie wegetacyjnym — dają naturalną podstawę do gospodarki rolnej, prowadzonej systemem ekstensywnym, do gospodarki wielkoobszarowej.

Słabe zaludnienie i stały odpływ ludności utrudniają coraz bardziej położenie gospodarstw wielkiej własności na skutek braku robotnika.

Zapobiec by można tym ujemnym zjawiskom przez intensywnie prowadzone osadnictwo, co pociągnęłoby za sobą zagęszczenie ludności wiejskiej, wywołałoby ożywienie przede wszystkim rzemiosła w małych miastach, rozwój handlu wewnętrznego, rozszerzyłoby pojemność rynku lokalnego, a w dalszej konsekwencji stworzyłoby podstawę do rozwoju przetwórstwa rolniczego oraz innych przemysłów.

Czyżby Niemcy nigdy na ten pomysł nie wpadli?

Przeciwnie — usilne starania w tym kierunku robiono, ale ze słabym nader skutkiem. Aby prowadzić na szerszą skalę akcję osadniczą, trzeba posiadać trzy rzeczy: pieniądze, ziemię, ludzi. Pieniądzy nigdy na ożywienie życia gospodarczego w Prusach Wschodnich nie brakło. Sęk w tym, że pieniądze nie były używane celowo. Dziesiątki i setki milionów marek wyrzucano dla osiągnięcia celów politycznych, a utopione w ten sposób środki nie dawały nigdy efektu gospodarczego.

Dziesiątki i setki milionów marek, które przeznaczone w rozmaitych okresach, od bardzo dawna począwszy, na rozmaite formy pomocy, jaka w ostatnim dziesięcioleciu przed wybuchem wojny rozwinęła się pod nazwą „Osthilfe” — używano jednostronnie. Ze wszystkich jej dobrodziejstw korzystały wyłącznie gospodarstwa większej własności, a więc zasłużonych junkrów.

Ulgi, dogodny kredyt mogą stanowić środek działania gospodarczego celowy, jeżeli warsztaty produkcyjne, które z nich korzystają, posiadają naturalne warunki rozwoju oraz intensyfikacji produkcji. Ale tych warunków, jak stwierdziliśmy, brak.

Starano się powoływać do życia, również kosztem finansowej pomocy w rozmaitych postaciach, nowe placówki rzemieślnicze i przemysłowe, ale tak samo bez wytworzenia odpowiedniego dla ich rozwoju podłoża. Nikt może nie ująć tego problemu trafniej jak nadprezydent Prus Wschodnich Teodor v. Schoen, który w r. 1922, w raporcie swym do rządu tłumaczył się ze słabych wyników ówczesnych akcji finansowych, mówiąc: „Jaki rząd może mieć dostateczną ilość pieniędzy, aby od niebios porządek świata odkupić”.

Tak sprawa miała się z pieniędzmi. A czy ziemi dla celów osadniczych było może brak? W Niemczech obowiązuje ustawa o osadnictwie z r. 1919, która przewiduje również możliwość stosowania przymusowego wykupu w pewnych warunkach. Ale junkrowie są politycznie mocni.

Gdy w latach 1929/30 Niemcy zostały narówni z innymi krajami dotknięte światowym kryzysem rolniczym, położenie większej własności w Prusach Wschodnich zastrzyżło się, wiele majątków stało się niewypłacalnymi. Władze naczelne Centralnej Kasy Spółdzielczej Rolniczej, zaniepokojone o los kredytów udzielonych większej własności, wystąpiły z projektem utworzenia specjalnej instytucji, która przejmowałaby zadłużone ponad ich wartość majątki ziemskie, przeprowadzała parcelację w sposób racjonalny i planowy i tą drogą uchroniła spółdzielnie przed stratą bardzo poważnych sum.

Trzeba było widzieć, co za hałas wszczęto w prasie konserwatywnej z powodu tego projektu. Uderzono na alarm, nie wahając się twierdzić, że centralny ośrodek aparatu kredytowego rolniczego, opanowany został przez wywrotowców. Gdy stary a zasłużony dla rolnictwa niemieckiego prof. Fr. Aereboc, ekonomista światowej sławy, pozwolił sobie oświadczyć, że tylko przez intensywną akcję

osadniczą da się uzdrowić rolnictwo wschodniopruskie, doczekał się tego, że mu naurągano od zramolałych starców.

Tak zwany „Landbund”, związek rolników o charakterze organizacji politycznej, zaczął działać bardzo energicznie, a mając całkowicie po swej stronie starego prezydenta Hindenburga, również obszarnika z Prus Wschodnich, osiągnął swój cel, i ministrem rolnictwa został Schiele, dotychczasowy prezes Landbundu.

Brak mi dokładniejszych wiadomości czy i w jakiej mierze régime hitlerowski sparaliżował wielkie wpływy obszarników wschodniopruskich. Śmiem wątpić, aby tak było. Flirty Hitlera z tymi sferami są znane, a nazistowska ustawa o zagrodach dziedzicznych (Erbhofrecht), która między innymi chroni bardzo mocno rolnika przed napastliwością wierzycieli, aczkolwiek w zasadzie dotyczy własności poniżej 125 ha, pozostawia jednak możliwości rozciągnięcia jej działania w pewnych wypadkach i na większe gospodarstwa.

Operowanie gromkimi hasłami celem obrony junkierskiego stanu posiadania nie opłacałoby się zapewne, gdyby wszystko było w porządku z trzecim czynnikiem, niezbędnym dla akcji osadniczej, to jest z czynnikiem ludzkim.

Gdyby w Prusach Wschodnich istniał głód ziemi, ci głodni skierowaliby niewątpliwie swój wzrok na wielką własność tam, gdzie ona jest tak licznie reprezentowana. Płaconoby wysokie ceny, a wówczas kto wie, czy gromkie hasła o konieczności obrony stanu posiadania równie gromko by brzmiały. Uprzymiśnijmy sobie, że wszak i osławiona komisja kolonizacyjna w Poznaniu, która, przyznać jej trzeba, korzystała z ustawy wywaszczeniowej, a nabywała z wolnej ręki majątki dla celów osadniczych, płaciła bardzo wysokie ceny, w okresie swej przeszło dwudziestoletniej działalności wprowadziła do Wielkopolski i Pomorza sporo osadników niemieckich, ale wykupiła na ten cel majątki... przeważnie niemieckie.

Osadnik niemiecki nie chciał iść do Prus Wschodnich. Gdyby kandydatów na osadników było wielu, to i tak mieliby oni mało do wyboru, bo zapasu ziemi do parcelacji Rzesza posiadała bardzo mało na innych terenach. Na zachód od Łaby większej własności nie ma już wcale, wysoki jej odsetek istniał w ostatnich latach tylko na Pomorzu pruskim i w Prusach Wschodnich. Pęd do osiedlania się na ziemi, a zwłaszcza na terenach trudniejszych do uprawy, wykazywać mogłyby również narody o wysokim przyroście naturalnym, wśród których istnieje zjawisko przeludniania wsi. W Niemczech, jak wiadomo, przrost naturalny spadał ostatnio w sposób wyraźny, a jednocześnie z tym następowały również i objawy ucieczki ze wsi. Rządy hitlerowskie bardzo poważnie brały tę sprawę pod rozwagę.

Istniała na miejscu rezerwuar ludzki nie wykorzystany. Była nim ludność polska, w Prusach Wschodnich zamieszkała. Wśród tej ludności znalazłoby się sporo kandydatów na osadników, gdyby i dla nich dostępne były kredyty i ulgi. Lecz skądże? Z punktu widzenia niemieckich celów politycznych byłoby to samobójstwem. Ludność polską germanizowano, a opornych gnębiono gospodarczo. Na skutek znacznego przyrostu naturalnego wśród polskiej ludności wiejskiej następowała pauperyzacja.

Na początku 1931 r. rząd przedłożył parlamentowi projekt nowych ustaw i plan akcji finansowej, już nie wiadomo której z rządu, mający na celu niesienie pomocy zagrożonemu wschodowi. Poseł do Reichstagu, hr. Westarp, popierając imieniem konserwatystów projekty rządowe, uderzał w nutę wzniosłego patriotyzmu i twierdził, że wystarczy spojrzeć na mapę okręgów, przewidzianych jako teren działania projektowanej akcji „Osthilfe”, by przekonać się, że chodzi tu o wschodnią twierdzę pruską, ogarniętą ze wszystkich stron zalewem słowiańskim. Jeden z jego kolegów posunął się jeszcze dalej. Twierdził mianowicie, że zalew przeniknął do samej twierdzy, że niebezpieczeństwo grozi również i ze strony ludności polskiej miejscowej, która poczuwa się do związków z ludnością Polski. Groził i uprzedzał, że jeżeli się nie uczyni wszystkiego, by wzmocnić elementy niemieckie, to nastąpi niebawem chwila, gdy Prusy Wschodnie, jak dojrzały owoc, oderwą się od pnia niemieckiego i wpadną niepodzielnie w ręce polskie...

Owoc niewątpliwie dojrzeje. A gdy już dojrzeje zupełnie, parcelacja i osadnictwo w Prusach Wschodnich ruszą z miejsca żywym tempem, w oparciu przede wszystkim o miejscową ludność polską, zasilaną bardzo wydawnie osadnikami z przeludnionych województw Krakowskiego, Kieleckiego i innych.

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH!
NA SEZON LETNI

poleca w wielkim wyborze mundury drelchowe i wełniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, bieleżne trykotową, oraz wszelkie artykuły i galanterię wojskową a także ręcznie haftowane dystynkcie.

GUR-ARIEH
(Właśc. A. Gurman)
T E L - A V I V , ul. ALLENBY 83

ZYGMUNT KOTOWICZ

DEMOKRACJA W WALCE Z REAKCJĄ

Na przestrzeni ostatnich 10 lat przed wojną wzrastająca fala reakcji coraz bardziej zalewała Europę. Faszyzm i hitlerizm opanowały całkowicie, lub przynajmniej połowicznie, większość krajów Europy. Tam gdzie społeczeństwo jako całość broniło się jeszcze przed tą chorobą, już jej symptomy występowały w postaci coraz liczniejszych grup i grup, otwarcie głoszących „ideę”, czerpane z Pałacu Weneckiego w Rzymie lub z pałacu kanclerskiego w Berlinie. Ale również i wiele osób, które zdawały sobie jasno sprawę z reakcyjnego i wstecznego charakteru wszelkich totalizmów, ulegało tej chorobie. Wyrażało się to w osłabieniu zaufania do ustroju demokratycznego, w braku wiary w siły twórcze w warunkach tego ustroju. Reakcja faszystowsko-hitlerowska, oczywiście, skwapliwie podkreślała wszystkie niedoskonałości i usterki ustrojów demokratycznych, aby tę nieufność pogłębić. Najbardziej jednak paradoksalne było oskarżenie, wysuwane pod adresem demokracji, iż nie potrafiła zahamować wzrostu nastrojów faszystowskich i przeciwstawić się różnym klikom, sięgającym po władzę. Koronnym świadkiem tego oskarżenia byli komuniści. Chciano postawić pod sąd nie bandytę, ale napadniętego, a za zbrodnie próbowało poczytywać nie napaść, ale fakt iż napadnięty nie potrafił się obronić.

W tej atmosferze polityczno-społecznej naddągała nowa katastrofa ludzkości. Powstał blok państw totalistycznych z Niemcami i Włochami na czele, które zaczęły prowadzić politykę agresji i demonstrowały gotowość realizacji swych planów zabórczych z bronią w ręku. Wkrótce jednak nastąpiła kontrakcja. Zaczęły z kolei zarysowywać się blok zachodnich demokracji z Anglią i Francją na czele, któremu udzielały pełnego poparcia politycznego Stanu Zjednoczone. Wówczas też po raz pierwszy powstało sformułowanie sytuacji politycznej w Europie, jako zarysowującej się według linii podziału: państwa totalistyczne — państwa demokratyczne.

Zaledwie jednak zaczęto w prasie, publikacjach i na różnego rodzaju konferencjach, zjazdach i zebraniach dyskutować to sformułowanie, gdy zostało ono z miejsca ostro skrytykowane jako bezsensowne. Jednocześnie w dyskusji podsuwano inne sformułowanie, a mianowicie, iż chodzi tu tylko o podział dóbr ziemskich, gdyż obok nielicznych krajów całkowicie zaspokojonych olbrzymim stanem posiadania, istnieją liczne narody „biedne” i „chodzą tu tylko o „sprawiedliwą rewizję tego stanu posiadania”. W uzasadnieniu tych poglądów, oczywiście, skwapliwie pomijano takie fakty, jak ten, iż przed poprzednią wojną światową Niemcy posiadały już duże imperium kolonialne i były pod względem gospodarczym w pełnym rozkwicie, a pomimo to zaatakowały z bronią w ręku niemalże cały świat, jak i ten fakt, iż Włochy właśnie zdobyły w Afryce duże kolonialne posiadłości i po Anglii i Francji stały się trzecim kolonialnym imperium, a jednak sekundowały Niemcom w ich polityce agresji politycznej. Równocześnie dyktatorzy Hitler i Mussolini wygłaszali namiętne mowy, w których usiłowali dowieść światu, iż ustroje totalistyczne w ich krajach są wewnętrznie sprawą tych krajów i nie są przeznaczone „na eksport”. Uderzające są te wszystkie wysiłki aparatu propagandowego państw „osi”, aby nie dopuścić do świadomości ogółu, iż przyczyną wojny może być nie tylko kwestia tej czy innej, mniej lub więcej sprawiedliwej czy niesprawiedliwej granicy państwowej, albo przydział mandatów kolonialnych — że walka może być podjęta o jakieś wyższe wartości ogólnoludzkie. Praca kancelarii pana Goebbelsa na tym odcinku była bodajże najbardziej aktywna i nie bez poważnych rezultatów. Związka ze operowano argumentem, iż w grupie państw, zbliżonych do Anglii i Francji, znalazły się kraje o ustrojach dyktatorskich (np. Grecja), lub monopartyjnych (np. Turcja).

Widzimy więc, że aczkolwiek propaganda totalistyczna przedstawiała demokrację jako przeżytek XIX wieku, to jednak w dalszym ciągu liczyła się ona z żywotnością idei demokratycznych. W całej tej akcji na czoło wysuwała się nie tyle pozytywna propaganda dla idei faszystowsko-hitlerowskiej, co propaganda negatywna, zmierzająca do podważenia zaufania do wartości idei demokratycznych. W tej postawie wyraźnie przebiegała obawa, iż idee demokratyczne ostatecznie mogą okazać się bardziej atrakcyjne i mobilizujące masy przeciwko agresorom.

Wybuch obecnej wojny w pierwszym okresie nie wywołał zasadniczych zmian w świecie ideologicznym tak krajów walczących, jak i neutralnych. W dalszym ciągu ugruntowywano pogląd, iż w walce tej idee nie grają żadnej roli, co najwyżej stanowią argument propagandowy. W Rosji Sowieckiej pogląd ten znalazł w tym czasie nawet oficjalny wyraz w mowie premiera Mołotowa wygłoszonej na piątej sesji Rady Najwyższej ZSRR. Oświadczył on, że: „Ideologia hitlerowska, jak i każdy inny system ideologiczny, może być przyjęta lub odrzucona. Jest to sprawa opinii publicznej. Każdy jednak rozumie, iż ideologia nie może być zniszczona przez gwałt lub wytopioną przez wojnę. Dlatego też byłoby nie tylko beznadziejnością, lecz nawet zbrodnią, prowadzić wojnę w celu zniszczenia hitleryzmu

i nazywać to walką o demokrację”. Bezprzekładna klęska Francji, jednego z największych krajów demokratycznych na Zachodzie, dostarczyła nowych argumentów przeciwko rozpatrywaniu obecnej gigantycznej walki jako walki o demokrację.

Stopniowo jednak poglądy zaczynają się zmieniać. Zmiana ta po raz pierwszy zaznaczyła się wyraźnie po ataku niemieckim na Rosję Sowiecką i nawet znalazła oficjalne sformułowanie w traktacie angielsko-sowieckim z dn. 12 lipca 1941 r., w którym obie strony zobowiązywały się do wzajemnej pomocy w prowadzeniu wojny przeciwko „hitlerowskiemu” Niemcom. W ten sposób Rosja Sowiecka zmieniła całkowicie swój oficjalny pogląd, ogłaszając krucjatę nie przeciwko Niemcom w ogóle, lecz przeciwko Niemcom hitlerowskim, a tym samym formalnie nadała wojnie treść wojny ideologicznej. Dalszym etapem była ogłoszona w sierpniu 1941 r. „Karta Atlantycka”. Omawiając w Kartie Atlantyckiej cele obecnej wojny, premier Churchill i prezydent Roosevelt wyraźnie stwierdzają, iż mają nadzieję na lepszą przyszłość dla ludzkości dopiero „po ostatecznym zniszczeniu tyranii nazistowskiej”. Głosy krytyczne, które wyrażał, iż „Karta Atlantycka” nie zawiera konkretnych sformułowań na temat warunków pokoju, granic i t. p. warunków politycznych, wynikały tylko z tego, iż krytycy albo świadomie chcieli podważyć znaczenie Karty Atlantyckiej, albo nie rozumieli, iż jej zadaniem było ostateczne sformułowanie demokratycznej treści ideologicznej dla walki, prowadzonej przeciwko państwu „osi”.

Przystąpienie w grudniu 1941 r. do wojny po stronie Aliantów Stanów Zjednoczonych z wyraźnym zaznaczeniem hasła demokratycznych ostatecznie zaakcentowało charakter obecnej wojny. W rezultacie Zjednoczone Narodów wyraźnie uformowały się w obóz państw demokratycznych. Obok Anglii i Stanów Zjednoczonych znalazły się tu także kraje o starej tradycji demokratycznej jak Belgia, Holandia, Norwegia czy Czechosłowacja. Nawet w dzisiejszej odradzającej się Francji obserwujemy, że w charakterze adherentów państw „osi” pozostają nadal wyjątkowo elementy faszystowskie z Lavalem, Doriotem i Déatem na czele, podczas gdy elementy demokratyczne znalazły się w obozie Zjednoczonych Narodów i walczą z bronią w ręku u boku Anglii i Stanów Zjednoczonych.

Aczkolwiek w dalszym ciągu stale powtarzają się próby znalezienia innych reakcyjnych sformułowań dla celów obecnej wojny, lansowanych czasem nawet przez poważne i wpływowe organy prasowe, to jednak dzisiaj walka toczy się zdecydowanie nie tylko przeciwko agresji niemieckiej, ale i o zwycięstwo demokracji nad totalizmem. Jest to wojna przeciwko reakcji. Jest to wojna prowadzona w imię postępu ludzkości, który jest możliwy tylko w ustroju demokratycznym.

Ten proces odbywał się również przed wojną i w Polsce. Katastrofa wrześniowa wywołała u wielu rewizję poglądów, ale narazie jedynie w sensie negatywnym. Mianowicie, nawet najgorliwsi zwolennicy „silnego rządu”, jeżeli chcieli wyciągnąć konsekwencje z szybkiego załamania się aparatu państwowego w okresie wrześniowej próby wojennej — to musieli dojść do wniosku, iż rząd, uchylając się od kontroli społeczeństwa, przez to samo

nie staje się jeszcze silnym: natomiast staje się rządem nieodpowiedzialnym, za którego niekontrolowane, a tym samym nieodpowiedzialne posunięcia, w konsekwencji pociągają całe społeczeństwo.

Nowy Rząd Polski, utworzony na terenie Francji, sformował się na podstawie zasad demokratycznych, opierając się o szeroki wachlarz stronnictw politycznych, jako Rząd Jedności Narodowej. W skład rządu weszło nawet szerego osobistości, odgrywających poważną rolę w polskim aparacie państwowym przed wrześniem 1939. Jednak wszyscy byli zaabsorbowani przede wszystkim reorganizacją aparatu państwowego i przystosowaniem jego do pracy na uchodźstwie. Na czoło wysuwały się zagadnienia związane z wojną, a praca komplikowała się przez fakt, iż polski aparat państwowy musiał działać nie na terytorium polskim, lecz „w gościnie” u sojuszników, i nie wśród społeczeństwa polskiego, lecz zdala od niego. Rząd Polski wypowiedział się w ogólnej deklaracji za zasadami demokratycznymi, ale polska myśl polityczna jeszcze nie znajdowała punktów wyjścia (poza zasadniczymi i ogólnymi) dla dyskusji na temat przyszłego ustroju Polski.

Mechaniczny powrót do układu politycznego w Polsce z przed maja 1926 r. nie był możliwy, gdyż późniejszy piętnastoletni okres spowodował duże przemiany w organizmie społeczeństwa polskiego, które wymaga dziś całkiem nowych form politycznych. Przykład Francji był mało budujący, zaś rychła klęska Republiki Francuskiej jeszcze bardziej pogłębiła krytyczny stosunek do jej ustroju. Ustrój demokratyczny Wielkiej Brytanii opierał się o pewne wartości, wynikające z wielowiekowej, nieprzerwanej ani niewolą ani nawet poważniejszym najazdem tradycji, której, rzecz oczywista, brakuje społeczeństwu polskiemu i dlatego przykład ten mógł dostarczyć jedynie elementów, i to nawet poważnych, dla dyskusji, lecz sam nie mógł być wzorem i punktem wyjścia dla rozważań. Jeszcze bardziej różnym i obcym dla mentalności polskiej był układ stosunków politycznych w Stanach Zjednoczonych. Wzory „demokratycznej” konstytucji sowieckiej nie mogą być w ogóle brane pod uwagę. W tej sytuacji idea przyszłej Polski Demokratycznej zawiązała do pewnego stopnia w powietrzu.

Dopiero ostateczne sformowanie się Aliantów wyraźnie w obóz krajów demokratycznych, walczących z faszyzmem (o czym mówiliśmy wyżej), znów ożywiło dyskusję, gdyż jasnym się stało, iż wojna zdecydowanie wyszła poza ramy walki o wolność poszczególnych narodów i stała się jednocześnie wojną o demokrację. Bezpośrednim impulsem dla tej dyskusji stała się deklaracja premiera gen. Sikorskiego, złożona 24 lutego 1942 r. na posiedzeniu inauguracyjnym Rady Narodowej. Deklaracja ta precyzowała demokratyczne podstawy przyszłego ustroju Polski. Deklaracja zapowiadała: odpowiedzialność rządu przed przedstawicielstwem narodowym, wybranym w czteropartyjnym głosowaniu; poszanowanie praw i wolności obywatelskich bez względu na różnice narodowości, wyznania i rasy; prawo do pracy i obowiązek pracy przy zachowaniu swobody wyboru zatrudnienia; planową odbudowę gospodarczą; szeroki samorząd terytorialny, gospodarzy i zawodowy; a to wszystko na gruncie zasad i kultury chrześcijańskiej i w oparciu o silną i spręż-

zystą władzę wykonawczą. Dzisiaj dyskusja na temat przyszłego ustroju Polski nabiera już pełnej treści, a pisma polskie wychodzące w Anglii coraz dokładniej precyzują poglądy na ten temat różnych ugrupowań politycznych.

Antoni Korejwo w artykule p. t. „Pomieszczenie pojęć” („Zielony Sztandar”, nr. 2, z dn. 24 stycznia 1943 r.) daje nam następującą definicję państwa o ustroju demokratycznym: „Państwami o ustroju demokratycznym w znaczeniu obiektywnym są te państwa, których ustawodawstwa wprowadzają pełną równość ich obywateli wobec prawa, w znaczeniu zaś subiektywnym są te państwa, których obywatele mają poczucie równości wszystkich jednostek ludzkich”. Adam Romer w artykule p. t. „Demokracja Chrześcijańska” („Jutro Polski”, nr. 20 i 21, z dn. 24 kwietnia 1943 r.) stawia tezę, iż „Przeciwko woli narodu, prawnie wyrażonej, nikomu rządzić nie wolno, nawet gdyby racja stanu wyrazem tej woli zdawałaby się być poważnie zagrożona. W żadnym jednak wypadku nie wolno rządowi ulegać presji t. zw. „ulicy”, czy nawet silnych organizacji i odłamów, jeżeli ciału, prawnie powołane do reprezentacji narodu, tej presji się przeciwstawiają. Obalenie prawowitej władzy demokratycznej drogą spisku i buntu z natury rzeczy prowadzi do dyktatury, obywatelnej czy „reakcyjnej” czy „rewolucyjnej”. Hasła emigracyjna, omawiając przyszły ustrój Polski, poświęca dziś szczególnie dużo uwagi ustrojowi gospodarczemu oraz samorządowemu i szkolnictwu.

* * *

Ala reakcja nie jest skłonna ustąpić. Usiłuje ona idee demokratyczne zabić w zarodku. W tym celu operuje pozornie przekonującym argumentem, że przecież obecny rząd polski na emigracji nie powstał na skutek swobodnie, na drodze demokratycznie wyrażonej woli narodu, a Rada Narodowa, aczkolwiek składa się z przedstawicieli poszczególnych stronnictw politycznych, to jednak są oni powołani drogą nominacji, dekretem Prezydenta R. P. Siły reakcyjne w dalszym ciągu usiłują sugerować, iż hasła demokratyczne są tylko hasłami propagandowymi, pozbawionymi istotnej treści.

Odpowiedzią na tę walkę podjazdową jest przemówienie A. Ciołkosa, wygłoszone w dyskusji budżetowej w Radzie Narodowej. Oświadczył on m. in.: „Oczywiście, na emigracji nie może być rządu robotniczo-chłopskiego, gdyż emigracja polska jest emigracją najrozmaitszych elementów, ale najmniej tu robotników i chłopów. Rząd robotniczo-chłopski może powstać w Polsce, w odpowiednim momencie tam gdzie są chłopcy i tam gdzie są robotnicy. Ja na emigracji rządu robotniczo-chłopskiego nie oczekuję”. Dalej zaś Ciołkosz mówił: „Taki rząd jest nam potrzebny, który może mówić do ludów świata tym samym językiem, jakim one mówią, językiem nie dnia wczorajszego, ale dnia jutrzejszego, tym językiem, który trafia do narodów świata, językiem nowej przyszłości, solidarności wolnych narodów i solidarności tych, którzy w tej wojnie największe ponoszą ofiary i największy w nią z siebie wkład dają”. („Robotnik Polski”, nr. 9, z dnia 1 maja 1943 r.).

We wspomnianym zaś już wyżej artykule Adama Romera czytamy: „Przesilenia w czasie wojny są dopuszczalne tylko w wyniku cofnięcia na drodze prawem przewidzianej mandatu, udzielonego rządowi w imieniu narodu. W przeciwnym razie rząd jest obowiązany mandat swój spełnić do końca. Mandat taki jest równoznaczny co najmniej z obroną integralności państwa. Tyczy się to tym bardziej tragicznej okoliczności, kiedy rząd znajduje się na obczyźnie z powodu inwazji własnego kraju i może z nim się komunikować jedynie drogą „podziemną”. Należy wówczas, z chrześcijańskiego punktu widzenia prawnego, stać na stanowisku, że rządowi wolno oddać swój mandat do dyspozycji narodu dopiero po umożliwieniu swobodnego i konstytucyjnego wyrażenia się jego woli. W żadnym wypadku nie wolno ulegać mu rozstrajającym wpływom psychiki emigracyjnej, mającej zawsze i wszędzie tendencje psychozy. Nie wolno mu kierować się nastrojami nie mającymi nic wspólnego z wolą narodu. Jest to zadanie bardzo ciężkie, wymagające głębokiej wiary, chrześcijańskiego sumienia i stanowczej woli”.

F. Markowski w artykule p. t. „O plan demokratyzacji Polski” („Zielony Sztandar”, nr. 7, z dnia 24 kwietnia 1943 r.) pisze na temat tej dyskusji: „Zastanawiający jest fakt, że cała polska reakcja prowadzi kampanię za nieporuszeniem spraw przyszłościowych. Wygląda to co najmniej dziwnie. Kofa, które atakują rząd i swoich przeciwników za bezplanowość i za bezprogramowość, obawiają się dyskusji nad programem i planem przyszłości. Powody są aż nadto jasne, by ich nie zrozumieć”.

* * *

Reakcja łatwo nie ustępuje, ale w ostatecznym rozrachunku zadczyduje ciężar gatunkowy przelanej krwi. Krew po stronie Aliantów jest szczerze przelewana, jednak nie w imię niewolnictwa i ciemnoty, lecz za wolność tak narodów jak i jednostek. Rezultatem zaś obecnej wojny może być tylko renesans demokracji.

Opowiadanie Jaśka Wirhowego o Ziemi Świętej

(Z książki Wojciecha Brzegi „Posiady. Opowiadania z Podhala”. Kraków, 1913).

Jerozolima, to nie tak duże miasto, za pół dnia go obejdziesz dokoła, a i dróżki — wiecie, ta droga krzyżowa, to miejsce jak na Kalwaryi (Zebrzydowskiej) — to stacje się wnet odmówi. Ino w jednym miejscu, to Turcy zamurowali, co trza godny kawałek obchodzić.

Stamtąd niedaleko do Ogroja. Piękny też to ogród — tele kwiaty — tam siedzą zakonnicy, co do rzeczy ten ogród uzdajali — ale to porobili, jak sie patrzy, Panie święty!

Z tego ogrodu do miejsca, ka Apostołowie zasnęli, kie im Pon Jezus cuwać kozoł, to bedzie telo, coby hōp kamienie dorucił. Widno stamtąd i to drzewo, ka sie Judas obiesił. Jo beł przy tem drzewie. Ale ta już z niego gnatek nimo, ino od korzeni pusiło — bo gnatek uschnął, kie sie na nim Judasisko obiesiło. To z Ogroja do tego miejsca telo bedzie, jak tu, od tego Zyda doktora z Marszałkowskiej do jałowcy, ka sie Jagusia Mihałkowa pobudowała.

Ze starych murów to jeszcze kawałek ostało ze świątyni Salomonowej. Tam, ku temu muiowi schodzą się Żydzi na modlitwę. Do środka ik tu Turek nie puści, ale przy takim rozku sie schodzą, no, i kie sie już pozogoniają, to taki lament, taki harfut robiom, jesse jak zyjem, takiej załoscić nie słysoł.

A płacki, to sie im tele z ó lejom, jak bób! Taką wrzawę, takie wojcenie, takie joki — a tak głowami o ten mur bijom, ze se myślom, no to juz bedzie sądny dzień! Ni mógek tego przesłuchać; mówim do księdza: „Jegomość! Hybojmé! Bo sie mi coś robi!”

Byłek i przy Martwem morzu. Ono je nie syrokie, ale mo być wzdusć wielgie i syko zburzone. Hoć wiatru nima, to fale, jak bez te izbe siuhajom — takie je zbałamucone. Tamby cie wnet zasulo. Jak sie ino kwile postoi, toście juz po kostki w piosku.

Tam sie pojedni kąpieli w tym morzu, jo ino gebe omyć tom wodom, to mi bez długi cas śmierdziała.

Jak my wracali stamstela, to nom w jednym miejscu na zakręcie kozoł furman sprosić. No i sproscali my takim źlebkim, pomiędzy turnici, i idziemy ze zięciem, az tu wyseł ku nom z pomiędzy skoli cygon. Hań wolno cyganowi mieć rewulwer, sable, flinte. No i wyseł z takim długim flinciskiem, zastompić droge i pado: „Daj badzi (bakszys)! Jo bedum (beduin)” — zaroz pedzioł, jak sie pise.

Ja wyjon miechurek z habrykom (tytoniem), dajem mu scypie habryki: mos tu — padom — bage, zuj.

A on ino gwarzy: „Daj badzi!” Jo wziom grzebać w miechurku, a zięć po kiesionkach, tak, wiecie, ino na despet, a pozieromy, skoro powóz nadejdzie. I tak my go kwile wybawili, az powóz nadjechał i my wse hip na fure. To tak nom rękoma grozieli...

Jasiek Wirhowy wracał następnie przez Włochy, był w Rzymie, w Lorecie i w Wenecji, ale Włochy mu się nie podobały.

Tam mie juz więcej nie ciągnie, ale do Ziemi Świętej to jesse pojadem, jak ino Pon Jezus do zdrowie i cas po temu. Ale pojdem lądem, bez Bawaryom, bo na morzu strasnie piere!

MICHAŁ JONO

OD MUSSOLINIEGO DO MAZZINIEGO

Wraz z upadkiem Mussoliniego zapadł się jeden z kamieni węgielnych tego „nowego porządku”, który lat temu 21 wystartował „marszem na Rzym”, ciężkim butem niewoli przemaszewował przez Hiszpanię, Niemcy, Austrię, Czechy, gąsienicami czołgów przewalał się przez Polskę, Bałkany, Francję. Mussolini, Hitler, Quislingi — związani byli i są nie tylko węzłem solidarności, ale i jednością systemu. Upadek Mussoliniego — to wyłom w murze ochronnym Berchtesgaden.

Prawda, zdawało się kiedyś, że dwie stolice „nowego porządku” razem nie zmieszczą się w Europie. Niejedno gorzkie (i prawdziwe) słowo Mussoliniego o jego berlińskim koledze zanotował kronikarz dyktatorów, Emil Ludwig. Europa, kapitulując wobec Hitlera, nieraz starała się wyganiać diabła Belzebubem. Zapominając o eksporcie ideowym faszyzmu włoskiego, a czasem wprost go faworyzując, pocieszano się, że ma on tylko cele terytorialne, w gruncie rzeczy ograniczone, że rzucając mu na pożarcie ochłap pustyni libijskiej, czy też Abisynię, będzie go można zostawić bezpiecznie przy ciężkiej robocie trawienia tych kłopotliwych darów. Myślano, że wzamian za pobłażliwość zyska się w nim wierną straż nie na Brennerze, ale dalej — na Dunaju, który Trzeciej Rzeszy zasłaniał drogę ku Lewantowi. Wiare tę przypłacił niemieckim obozem koncentracyjnym ostatni kanclerz Austrii, Schuschnigg.

Albo moment aresztowania Schuschnigga był preludium dzisiejszego aresztowania Mussoliniego. Niemiecki rywal stawał się sprzymierzeńcem. Ale Niemcy nie mogą mieć w Europie sprzymierzeńców: sprzymierzeniec Niemiec to wasal niemiecki. Jak to pięknie powiada Ruppert Schuhmacher w swym „Słowniku Niemiec”, nawet Wielkie Niemcy, ogarniające według programu „geopolityków” hitlerowskich cały niemal obszar dzisiejszej okupacji niemieckiej, — to tylko początek. „Niemiecki obszar mocarstwowy i niemiecka strefa obronna — mówi Schuhmacher — jednym słowem Niemcy, pozostają... wielką całością, z której zawsze rosnąć będzie idea czegoś jeszcze większego, dążącego od mnogości do jedności”.

Wielki szuler polityczny przegrał zapoczątkowaną przez siebie partię nie w czerwcu r. 1943, ale już 5 lat przedtem, w r. 1938, bity fałszywą kartą hitlerowskiego „przymierza”, wciągnięty w wir tej wszechchłonnej jedności wielkoniemieckiej. Włochy przegrały już wtedy — choćby nawet ziścić się miały plany Ciano i Grandi’ego. „Zwykleski” Duce stałby się poprostu gauleiterem Italii i zandarem zdobywczy Hitlera. Jedyną szansą Włoch była i jest ich dzisiejsze porażka militarna, która Włochy zwróci ludowi włoskiemu.

Tak, ale czym będą te Włochy nazajutrz po zawieszeniu broni?

Przed Amgotami (wojskowe władze okupacyjne Sprzymierzonych) stanie niesłychanie trudne i odpowiedzialne zadanie, od którego pomyslnego rozwiązania zależą całe dziesięciolecia powojennej Europy. Zadaniem tym będzie: uczynić ojczyznę faszyzmu zdolną do samodzielnej przebudowy społecznej i kulturalnej, do budowy nowego układu idei, praw, instytucji, które dadzą Włochom możność zwykłego, ludzkiego życia i współżycia z innymi narodami. Jeżeli te idee, prawa, instytucje mają działać skutecznie i trwale, narzucać ich z zewnątrz nie sposób — muszą być one własnym dorobkiem narodu, wyrazem jego potrzeb i dążeń. Amgoty więc nie będą narzucały gotowych formuł ustrojowych. — zadaniem ich będzie właśnie wydobyć z samej ludności te siły, które będą i uprawnione do sformułowania potrzeb oraz woli narodu, i zdolne do utrzymania w ruchu wyrastających z nich nowych form ustrojowych. Amgoty mają więc zadania pomocnicze i wychowawcze, a Włochy będą dla nich pierwszym laboratorium doświadczalnym.

Pétainowie i Badoglio wie powoływani są raczej do podpisywania kapitulacji, nie do rządów. Jakie więc siły, jakie idee wyłoni naród włoski, zrzuciwszy ze siebie jarzmo faszyzmu i rządy kapitulantów?

Osiemnaście lat temu, przed wielkim pogromem we Włoszech — właśnie pod ręką faszyzmu, wbrew niemu, wbrew jego hasłom — rósł potężny, nowy ruch ludowy „popolarich”. Powstała do walki o prawo do życia ciemna, małorolna, pracowita, groźna swą masą i nędzą — wieś włoska. Miała ona swą kadrę kierowniczą w niższym duchowieństwie katolickim, które częściowo wyrosło ze wsi, a żyjące jej życiem i troskami, bliskie było chłopom włoskim i rozumiało ich potrzeby. W miastach, po burzliwym chaosie pseudorewolucyjnym, organizacje robotnicze, w ogniu walki oczyszczone od karierowiczów i elementów chwiejnych, znów zespały się w wielką siłę konstruktywną. Liberalizm, organizacyjnie rozbity, pozbawiony już prasy, zdeorientowany i politycznie bezsilny, ale rozporządzający elitą kulturalną włoskiej próby, przepojoną ideałami starej wolnej Italii Garibaldich i Mazzinich, był jednak dużą siłą moralną, zdolną dać ruchom ludowym kadry i wyraz ich idei.

20 lat terroru poprostu musiało wykastrować Włochy ideowo. Owra, prawzór Gestapo, i Milicja Faszystowska, prawzór SS, nie pracowały wprawdzie tak sprawnie i tak dokładnie, jak ich bogaci potomkowie z ducha i metod, ale umiały zrobić swoje. Ludzie, któ-

rzy po 15 — 20 latach katongi wrócą z Wysp Liparyjskich, z obozów Ponza, Ustica, w ogromnej większości będą jeno służyć za sztan-dary, ale nie za budowniczych nowego jutra. To już ludzie ze złamanym kręgosłupem życiowym. Młodsza opozycja? — Tak — ofiarni ideowcy, jeszcze pełni zapału, ale ludzie ciasnych już horyzontów. Nie rośnie się w cieniu Ovry i Gestapo. A dalej „opozycja” — poprostu ludzie niezadowoleni, czujący zło faszyzmu, ale niezdolni do ideologicznego ujęcia swych dążeń.

Inteligencja? Albo przetrzebiona, albo znieprawiona udziałem w rządach, poprostu życiową koniecznością współdziałania z reżimem. Biurokracja — równoznaczna z aparatem faszyzmu, pracująca na rozkaz, niezdolna do inicjatywy politycznej. Przemysłowcy? — przede wszystkim trzebaby wyeliminować tych, którzy jak Volpi faszyzm tworzyli, lub jak Ciano (ten Goering przemysłu włoskiego w miniaturze) z faszyzmu wyróśli, Ziemiaństwo? — stare rody szlacheckie z pogardą niegdyś spoglądały na Mussoliniego, ale dziś już doróśli ich synowie przeszli w szeregi faszyzmu, „gerarchi” (hierarchów, elity faszyzmu), by tym silniej za pysk trzymać nieszczonego „cafone” — napój pańszczyźnianego chłopstwa włoskiego. Wojsko? — tak, opozycja tam była i jest silna, nie tyle jednak wobec faszyzmu, ile wobec Milicji Faszystowskiej. Ale Sprzymierzeni walczą właśnie o to, by armia była tylko siłą obronną narodu a nie państwem samym. Król? — prawda, w jego imieniu dokonano się niby rewolucja antyfaszystowska, ale ani uczonemu numizmatykowi Wiktorowi Emanuelowi, ani bezideowemu hulaczce ks. Umberto, następcy tronu, Włochy nie zapomniały ustępliwości wobec faszyzmu i ich nicości wobec Mussoliniego. Robotnicy i chłopi? — pozbawieni kadry ideowej, niegdyś zorganizowani do walki, dziś zdolni przeważnie tylko do niezorganizowanych odruchów emocjonalnych.

Najstraszniejszą bodaj zbrodnią faszyzmu jest to, że odczytał ludzi żyć wolnością. Do wolności trzeba dziś będzie przyzwyczajać naród włoski, wychowywać go do wolności.

Któż tego dokaze?

Prawda, zostaje jedno źródło siły wychowawczej: emigracja. Ludzie, którzy 20 lat temu i przez całe 20 lat ubiegłych niesli na obczyźnie ideały włoskiej wolności. Najlicniejszą, najbardziej wartościową jej odłam, to była emigracja we Francję, we Francję, która im wiarę w siebie — ojczyznę wolności oddała swoimi, a potem niemieckimi obozami koncentracyjnymi. Anglia, Stany Zjednoczone, Wschód — to jej ośrodki dzisiejsze. Ale czy emigrację włoską można traktować jako uosobienie woli narodu włoskiego? Każda przecież emigracja polityczna sama siebie utożsamia z ojczyzną i przekonana jest, że i ojczyzna nadal myśli tak, jak oni przed laty. Nie mówmy już o tym, że emigracja łamie ludzi tak, jak więzienie. Ale czy emigracja włoska znajdzie wspólny język z Krajem?

Wątpliwe, by nowe Włochy właśnie emigracji chciały przekazać pełnię władzy. Mogą zato przejąć od niej pewne nastawienia, pewne idee.

Jakie? Musimy pamiętać, że przez lat 20 wyrosły dwa pokolenia Włochów, które nie znały nic poza faszyzmem. Faszyzm mógł ich nie zdobyć, nie uczynić ich swoim aktywem, ale napewno ukształtował ich mentalność. Nawet antyfaszyści we Włoszech muszą myśleć kategoriami faszyzmu. Powrotu, poprostu powrotu do starego liberalizmu — nie ma. Do przyjęcia będą dla narodu włoskiego tylko te idee, które w życiu jego będą stanowiły nowum, które zdolne będą przetworzyć „dynamizm” faszyzmu w siłę pędzącą nowego ustroju i istotnie zrealizować te postulaty szarego człowieka, którymi go zdobywała demagogia faszyzmu.

I znów piętrzą się pytania. Co dalej? Jakie formy ma przybrać nowe życie w kraju, wyzwolonym od władzy fasci, ale zatrutym czadami faszyzmu? Włochy — zdaje się — nie wiedzą. Nie bardzo wie i emigracja. Paulo Treves, były wódz socjalizmu włoskiego, dziś jeden z przywódców organizacji Wolnych Włochów, przerażony spustoszeniem duchowym, jakiego we Włoszech dokonał faszyzm, cofa się przed odpowiedzią pozytywną. „Jak całe Włochy, wie tylko, że nie chce faszyzmu. Ale czego chcą Włochy? Albo przynajmniej —

MARIA PETRY

Przestrzeń narosła w minione dni, ruchome, błyszczące ciemno, w zielonym czasie rozpięte tkwi serce, czerwony anemon.

W palmach — bez końca wiatr na myślach gra dzikie, stęsknione allegro, jedno się w dojrzał ust gorzko pcha, że pomarańcze już bledną...

I cóż, że Twe oczy? Gdzie usta Twe, by zbudził się złoty demon i żeby wiatr znów śpiewał jak flet: zakwitł czerwony anemon;

czego chcieć dla Włochów?

Na to pytanie, jak dotychczas, dała odpowiedź jedynie grupa „Giustizia e Libertà” („Sprawiedliwość i Wolność”), ruch dziś wśród emigracji włoskiej bardzo poważny, który nawiązując do idei Giuseppe Mazziniego (1805-1872), duchowego wodza Risorgimento (włoskiego ruchu wyzwolenczego), zdołał nakreślić program drugiego Risorgimento dla Włoch pofaszystowskich.

Ideałem ich jest cel, który Mazzini postawił swoim czasom: „uczynić z Włochów lud wolny i niepodległy, z prawami harmonizującymi zdolności indywidualne i myśli społeczną, żyjącą własną pracą i jej owocami, zgodny między sobą w dążeniu do osiągnięcia najwyższego pożytku wspólnego, ale nie zaniedbujący szacunku dla praw jednostki”.

Ustrój, jaki proponują, ma na celu przede wszystkim wychowanie Włoch do wolności. Dlatego też do czynnego udziału w życiu publicznym, do stanowienia o nim, pociągnięte być mają jak najszerze masy ludności. I właśnie ta powszechność życia publicznego zapewni Włochom to, co im faszyzm odebrał: panowanie Prawa. „Im większy udział obywateli w stanowieniu praw, — mówią autorzy programu, — tym większy ich szacunek dla prawa i tym szybsza reakcja przeciw bezprawiu”.

Szkół życia publicznego ma być samorząd terytorialny, w którym znajdzie wyraz inicjatywa obywatelska i regionalne potrzeby i dążenia poszczególnych ziem włoskich. W gruncie rzeczy proponowany ustrój to nie samorząd, lecz autonomia kantonalna. Włochy stałyby się niemal federacją autonomicznych kantonów na wzór Szwajcarii. Autorzy otwierają się do tego przynajmniej — pełny regionalizm, inicjatywa miejscowa, administracja obywatelska mają Włochy wyleczyć z tego bezwładu i zeskorporowania, w jakie wtrącił bezduszny centralizm faszyzmu i jego miazdząca wszystko machina biurokratyczna. Nie można się zresztą dziwić takiemu ujęciu sprawy. Pomijając już, że Włochy mają historyczne i kulturalne podstawy dla rozwoju regionalizmu, trzeba pamiętać, że koniecznością jest dla nich możliwe największe zacieśnienie kompetencji faszyzowanej administracji państwowej i wychowanie nowych kadr aparatu rządowego.

Dla władzy centralnej mają być zastrzeżone jeno sprawy wspólne całych Włoch — możliwe nieliczne i nie naruszające zasady autonomii regionalnej. Nawet kontrola nad samorządem nie będzie należała do władz rządowych, bo i ponad samorządem i ponad władzą centralną stanie niezależna władza sądownicza, powołana do strzeżenia stałe gwałconych przez faszyzm wolności i praw społeczeństwa i jednostki, — choćby wbrew państwu i wbrew społeczeństwu.

Samorząd sięgać ma głęboko — nie tylko w dziedzinę administracji, ale i życia gospodarczego. Poto, by faszyzm się nie powtórzył, Włochy muszą się zacząć wsiadającymi społecznymi. Na pierwszy plan wybija się sprawa wsi, sprawa tych 4 milionów bezrolnych, 3,5 miliona małorolnych, 1,3 miliona drobnych dzierżawców, włącznie razem zaledwie 35% kamienistej, wyczerpanej gleby włoskiej, których faszyzm stracił do poziomu przypisanego do ziemi chłopu-poddańca. Nieodzownym postulatem staje się tu parcelacja wielkiej własności rolnej, obejmującej około 35% ziemi ornej, uwłaszczenie dzierżawcy (tak jak u nas, w zaborze rosyjskim w r. 1863), uzupełnienie gospodarstw małorolnych, nadzelenie ziemi bezrolnego proletariatu wiejskiego. Szeroki rozwój spółdzielczości rolnej zakupu i zbytu, tak pięknie zapoczątkowanej we Włoszech jeszcze przed pierwszą wojną światową, a zniszczonej lub zniekształconej przez faszyzm — zapewni rolnikowi stałość cen i ochronę przed wyzyskiem pośrednika, przede wszystkim zaś umożliwi mu planowanie i realizację melioracji i opłacalność upraw potrzebnych gospodarce krajowej.

Zadanie to tym łatwiejsze do wykonania, że znaczna część majątków większych pozostaje w rękach bądź tych ziemian, którzy weszli w skład hierarchii faszyzmu, bądź też w rękach „gerarchi”, którzy ze swej ideologii faszyzmu potrafili wykuć brzącą monetę. Ci zostaną pozbawieni swych majątków, zasadą jednak pozostaje wy-

*) Paolo Treves. — Italy Yesterday — Today — Tomorrow. Londyn, 1942.

właszenie za odszkodowaniem.

Te zasady zastosowane będą w przemyśle i w bankowości. Przemysł i finanse włoskie nie są tak splątane z faszystowskim anaratem władzy, jak przemysł i finanse niemieckie z hitleryzmem, ale i Włochy mają bardzo wielu takich przemysłowców czy bankierów, którzy stanęli w pierwszych szeregach faszyzmu, lub takich, którzy w oparciu o faszyzm wyrosli na magnatów gospodarczych. Dzięki temu państwo, likwidując faszyzm, będzie mogło przejąć dziedziny wytwórcze ważne dla życia publicznego — przemysł ciężki i zbrojeniowy, górnictwo i komunikację, urządzenia komunalne i kluczowe instytucje kredytowe.

Nie znaczy to bynajmniej, żeby Giustizia e Libertà dążyła do centralistycznego etatyzmu. Wręcz przeciwnie — odrzuca ona etatyzację na wzór rosyjski. Praca musi być wolna a jej formą organizacyjną stać się mały i stary ideał Mazziniego — wolne zrzeszenie wytwórcze. Wielkie fabryki staną się spółdzielniemi. Ale obok nich pozostanie i będzie chroniony wbrew dotychczasowym tendencjom faszyzmu drobny wytwórca — program podkreśla doniosłość polityczną i moralną wzrostu rzemieślniczego i drobnego wytwórcy.

Interesy wytwórców i konsumentów i sama wytwórczość przemysłowa i rolnicza muszą być skoordynowane, muszą mieć świadomość celów i możliwości. Dlatego też na czele życia gospodarczego stanie Kongres Ekonomiczny, — przedstawicielstwo pracowników i specjalistów.

Tak więc politycznym instytucjom centralnym — parlamentowi wybieranemu w powszechnym i równym głosowaniu, wyłanianemu przezeń ministerstwu i prezydentowi (przyszłe Włochy program widzi republiką) — pozostaje bardzo ograniczony zakres działania.

Tym bardziej, że wbrew faszyzmowi, program zrywa z ideałem absolutnej suwerenności państwa. Giustizia e Libertà rozumie dobrze, że takie Włochy mogą istnieć tylko w świecie pełnej współpracy międzynarodowej, która będzie od wszystkich państw wymagała zrzeczenia się pewnej dozy samodzielności w szeregach dziedziny życia gospodarczego i politycznego, by przekazać je specjalnie dla tego celu stworzonym organizacjom lub organizacji — już nawet nie międzynarodowej, ale poprostu nadpaństwowej. Najbliższą i najbardziej realną formą tej współpracy będą regionalne zrzeszenia państw; Włochy wejdą w skład wielkiej federacji zachodniej Anglii, Francji, która pozbawionym surowców Włochom da sprawliwy dostęp do niezmiernych bogactw Afryki a sprzymierzonym z nimi — ręce pracowitych kolonistów włoskich.

„Przyczyniliśmy się do postępu ludzkości więcej, niż jakikolwiek inny naród, — mówi program. — Gdy zerwana zostanie maska samolubstwa i rozboju, jaką Włochom nałożyła dyktatura, okażą się wielkie talenty i zdolność powrotu do starych tradycji”.

Nie wiemy, czy Włochom uda się wydobyć z siebie siły zdolne nie tylko do pełnego zatarcia śladów faszyzmu, ale i pełnej przebudowy społecznej i politycznej. W każdym razie szanse są w tej mierze większe dla Włoch, niż dla Niemiec. Faszyzm włoski trwał dwa razy dłużej niż panowanie hitleryzmu, wychował dwa a nie jedno pokolenie. A jednak, zdaje się, wpływ jego był mniej demoralizujący, niż wpływy hitleryzmu. Hitleryzm ma swoje głębokie korzenie w przeszłości i w mentalności niemieckiej; faszyzm zdobył władzę wbrew tradycjom i wbrew mentalności włoskiej. Dlatego przecież hitleryzm zwyciężył tak łatwo i tak łatwo rozprawił się z olbrzymimi organizacjami opozycyjnymi stronnictw niemieckich, podczas gdy faszyzm, brutalnością metod nie zawsze ustępujący hitleryzmowi, tak długo, bo dobrych lat parę, musiał wywalczać sobie panowanie i nigdy właściwie nie zdołał w pełni wytrzebić opozycji. To właśnie pozwala nam żywić nadzieję na drugie Risorgimento włoskie.

Nie wiemy, czy uda się Wolnym Włochom zrealizować powyższy program, nie wiemy czy i w jakiej mierze odpowiada on warunkom rzeczywistości włoskiej. Ale jedno trzeba przyznać: jest on owiany szczerym, orzeźwiającym tchem wolności, tej wolności, która — jak to powiedział Giovanni Amendola — jest niby powietrze: kiedy jest, nie troszczymy się oń choć nim żyjemy, ale kiedy go zabranie — umieramy.

I drugie trzeba przyznać: program ten to istotnie powrót do zdradzonych i splugawionych przez faszyzm najpiękniejszych tradycji włoskich, do tego pierwszego Risorgimento, w którym obok wielkich nazwisk Garibaldiego i Mazziniego polskie widnieją nazwiska, do wielkich idei humanizmu włoskiego, który natchnął najpiękniejszy Złoty Wiek naszej kultury. Jeżeli naród włoski dobiedzie ze swego łona sił nowych, jeśli zrzuci skorupę faszyzmu — nie tylko ustrojowo, ale i ideowo, jeżeli choćby częściowo urzeczywistni program Wolnych Włoch, wyzwolona i odnowiona Polska odzyska wielkie i szczerze przymierze, — nie z szulerami politycznymi, lecz to przymierze, w które wierzył Mazzini, które było i jest linią przewodnią naszej walki o niepodległość: przymierze równych ludzi i równych narodów, które wolnością swą zaprzeczają nie tylko innym, ale i sobie prawa do pogwałcenia czyjejkolwiek wolności.

EROTYK

tylko noc wschodnia, duszna, bez dna, pustynia dyszy z oddala i nagle — w gardle spływa i trwa krótka gorąca fala...

W Orient, przez oczy przelewa się czas, zielony odmet spiętrzony, a gdzieś na falach rozpięte drga serce, anemon czerwony;

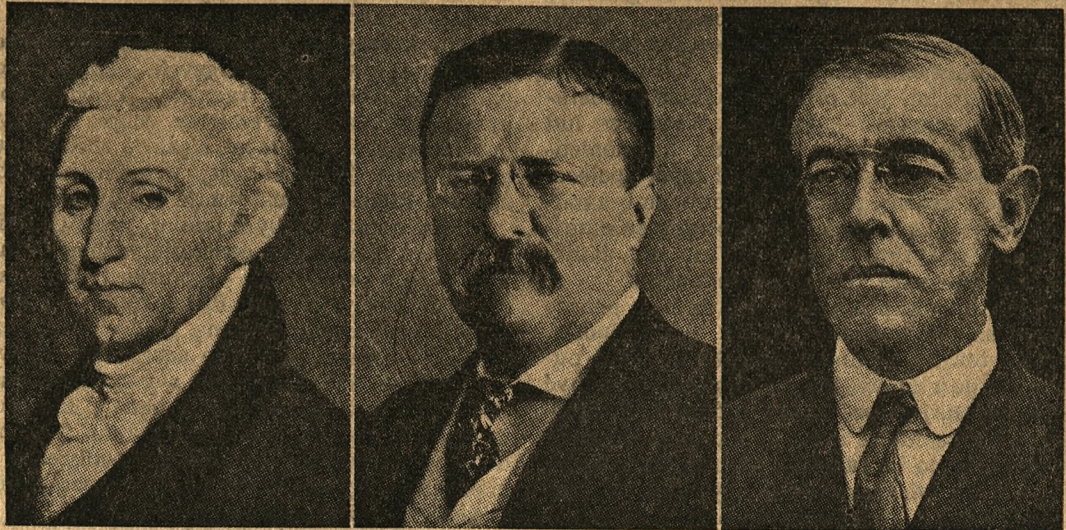
żywił narasta w wiatr palm i w nas; wiem — rytm huczący nie ostygł i rucam w przestrzeń i w szum i w czas pijany z tęsknoty erotyk.

I have sworn upon the Altar of God Hostility against every form of Tyranny over the Mind of Man.

Jefferson.

I

Przed niedawnym czasem oświadczono że strony Stanów Zjednoczonych, że armia amerykańska w najbliższej przyszłości będzie dysponowała 180 tysiącami aparatów bojowych



TWÓRCY AMERYKANSKIEJ POLITYKI ZAGRANICZNEJ

James Monroe

Theodore Roosevelt

Woodrow Wilson

i dwoma milionami lotników. Nawet w dzisiejszych stosunkach, gdy całe narody są zmobilizowane i pełnią służbę wojskową w mundurach lub bez nich, oświadczenie to przekracza, wyobraźnię ludzką. Tęgo rodzaju faktów w życiu Stanów Zjednoczonych jest więcej. Produkcja statków handlowych, rozbudowa armii, floty wojennej. Jak wytumaczyć sobie te niesłychane zdolności organizacyjną, sprężystość, a nade wszystko ten znakomity zmysł sprawiedliwości politycznej, który każe temu narodowi wybrać choćby w ostatniej chwili właściwą drogę, poprzez słuszną sprawę?

Stany Zjednoczone pozostawały przez okres XIX w. w ramach swoich własnych, partykularnych interesów polityczno-gospodarczych. Zarówno bowiem wojna hiszpańsko-amerykańska, jak i ekspedycje meksykańskie, interwencja na Kubie i w Centralnej Ameryce nie wychodziły poza zakres spraw Ameryce Świata.

W historii powszechnej, której uczuliliśmy się w szkołach, sprawy te zabierają miejsca bardzo małe lub wcale. Perspektywa europejska i horyzont politycznego myślenia mędrów stanów i narodów, zamieszkujących tę część świata, nie ograniczali swym zasięgiem przez długi czas tych spraw, które działy się gdzieś na peryferiach kultury białego człowieka. A tam powstawał naród, nowy ustrój polityczny i u gospodarczy, społeczeństwo, w którym bez hasła rzuczonego z góry dominowała zasada inicjatywy, przeżności gospodarczej. Wzrastała spójność gromady ludzi, żyjącej na cudownej i bogatej ziemi, mimo że jednocześnie wzrastała mozaika językowa, kulturalna i narodowościowa. Wzrost indywidualizmu idzie w parze ze wzrostem poczucia narodowości, mimo to że nie można rządów Stanów przypisać żadnej świadomej akcji zmierzającej do realizowania tego celu. Do dziś dnia najważniejsze środki szkolnictwa, wychowanie publiczne, nie są w niczym od tego rządu federalnego zależne.

Musolini wychował naród włoski. Hitler wychowywał Niemców. Coraz to słychać o wielkich wychowawców narodów. Żaden z wielkich przywódców narodu amerykańskiego nie pretenduje do tego tytułu. Na ogromnej przestrzeni, na której powieja dzisiaj gwiazdasty sztandar, zamieszkał jakiś dziwny, wszechpołączny niemal ktoś obdarzony geniuszem, w którego twarz jeszcze nikt nie spojrział.

Łatwo jest wytłumaczyć to zjawisko w oparciu o taką czy inną teorię monistyczną, uwzględniając jeden czynnik jako wyjątkowo dominantę dziejów. Ci wszyscy jednak, którzy zetknęli się z życiem amerykańskim, wiedzą, jak fałszywe jest tego rodzaju podejście. Trzeba wziąć pod uwagę i naturę kraju, i ogromną skalę możliwości życiowych, które dają środowiska takie jak Nowy Jork, Boston czy Chicago, czy Nowada, czy Ohio, lub którykolwiek z krajów Dzikiego Zachodu.

Rzeczywistość amerykańska pełna jest przeciwności. Do dziś dnia widać, że dziesięcioletniemu kapeluszu, zaganianemu w stado krów, spotyka się z Packem, czy z Lincolnem na drogach USA. Obok tych indywidualnych możliwości ogromny rozwój techniczny, fabryki Forda, potęgą obok popularności Einsteina, życie religijne obok popularności Uniwersyteckich, nie ustępujących Oxfordowi czy Sorbonie, tradycje polskie, szwedzkie, duńskie i irlandzkie i t.d., na ogólnym tle kultury anglosaskiej. To wszystko jednak daje ten wspaniały stop, który rozbłamtała szlachetnym tonem w wyroku Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, w gestach filantropijnych amerykańskich milionerów, w dojrzałości politycznej świata pracy, w wyczynach eksploratora, lotnika, marynarza i zwyczajnego kupca amerykańskiego. Każde ludzkie istnienie nosi w swej duszy jakąś tęsknotę do czynu, który przetrwał fizyczny byt.

II

Gdy po raz pierwszy Penn i jego towarzysze spojrzeli na morze lasów, w które u-

ciekli przed złym, nietolerancyjnym społeczeństwem, musiało tym żarliwym religiantom odebrać się w duszy coś ze stosunku narodu wybranego do Ziemi Obiecanej po wyjściu z Egiptu, naturalnie z właściwym zachowaniem proporcji. Ziemia Obiecana Penn'a i jego towarzyszy była rzeczywistością Ziemi Obiecanej. Ten wspaniały kraj, łączący w sobie wszystkie klimaty, obdarzony wszystkimi niemal podstawowymi surowcami, pozwalał nie tylko na stworzenie wysokiej kultury materialnej, na

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

USA — POWSTANIE NARODU

zasad, który wyciągał każdy obywatel Stanów z Biblii, trudno to ustalić. Braterstwo między ludźmi znajdowało w tym fakcie swoje praktyczne uzasadnienie a gościna druga półkula swoimi bezmiernymi przestrzeniami pozwalała realizować zasadnicze nakazy etyczne, wynikające z Pisma Świętego.

W ten sposób kraj, w którym tworzył się obecny naród amerykański, wpływał zasadniczo na powstawanie mentalności, która znalazła potem odzwierciedlenie w praktycznych zasadach polityki. Żeby nie pozostawić fałszywego wrażenia, należy podkreślić, że później przyszły ograniczenia imigracji. Wynikały one jednak nie tylko z obaw przedludnienia Stanów Zjednoczonych, ale także z pragnienia, by zachować pewien skład narodowościowy, który w umyśle rządów USA był uważany za pożądany z punktu widzenia narodu. Do dziś dnia nie zamknięto wrót dla imigracji, nie odseparowano się zasadniczo od dzieła pomocy w ten sposób potrzebującym bliźnim. Przymknięto tylko szeroko dawniej otwarte wrota, wykluczając elementy mniej pożądane.

III

Już analiza kraju i jego zasadniczej cechy, przestrzeni, pozwala nam uchwycić charakterystyczne rysy społeczeństwa i jednostki, żyjącej w Stanach. Jeszcze bardziej wyraźne dane daje analiza historii ruchu ludnościowego. Nie sposób tu obyć się bez paru podstawowych cyfr. W r. 1790 ludność Stanów wynosiła niepełna 4,000,000 ludzi w kraju, w którym warunki życia były specjalnie łatwe. Wzrostłoby było pełno, nie było wlewu ludzi bogatych, ani specjalnie biednych. W roku 1840 ludność wzrosła do około 13,000,000, przy czym jest to przyrost przeważnie naturalny, albowiem tylko około 300,000 pochodzi z emigracji zagranicznej.

Okres rajska życia obywateli Stanów kończy się jednak. Albowiem już w dziesięć lat później wskutek napływu emigrantów obraz ludności Stanów wygląda inaczej, w dwadzieścia — urodzeni na terytorium Stanów stanowią mniejszość. W latach sześćdziesiątych XIX stulecia te właśnie wielkie masy emigracyjne decydują o wyniku wojny cywilnej. Wzajemny bowiem, jak wielkie siły działy po obu stronach. Zwolennicy federacji zdążyli zmobilizować około dwumilionową armię, że strony konfederatów — wynosiły 700,000. Cały naród, tak jak on wtedy się przedstawiał, wziął udział w tych spokojnych dla historii Stanów zapasach. Zwycięstwo odniosła ta strona, po której stanęła rzęsa emigracyjna, która przyszła po chleb, po nowy byt. Na jej czele stanęli rdzenni Amerykanie, Jankei w całym tego słowa znaczeniu, ale właśnie krew tych przybranych synów Wielkiej Republiki użyźniła grunt pod bujny posiew historii.

Dzisiaj wiemy, jak zasadnicze znaczenie dla przyszłej wielkości Stanów, której świadkami obecnie jesteśmy, miało to zwycięstwo i jak ostry był zakręt historii, wówczas dokonany. Przewrót przemysłowy i społeczny tego okresu nazywa się często rewolucją amerykańską i jest to nazwa bodaj że jedynie słuszną. Chodziło o coś znacznie więcej niż o uwolnienie czarnych niewolników, których los, jak to wiemy z wielu opowieści o tych czasach, nie był znowu taki żyły i który nie uległ wskutek zniszczenia niewolnictwa specjalnej poprawie. Szło o ostateczne zjednoczenie całego narodu, o stworzenie jednej umysłowości, jednolitego frontu dla zdobycia potęgi. Arystokratyczne południe, dostarczające dotychczas rządów i myślicieli, traci swoje górujące znaczenie. Przemysłowa północ zdobywa przodujące znaczenie, znika przewaga tradycji, na pierwszy plan wysuwa się praca i jej rezultat — kapitał.

Szara, często nieszczęśliwa masa emigracyjna, której ponurym pieczęcią jest Sinclair Lewis, staje się budowniczym wielkości Stanów w nie mniejszym stopniu niż rdzenni przy synowie. Rezultatem jest dzisiaj około 140,000,000 mieszkańców i niosący nam nadzieje wolności przemysł amerykański.

Trudno nam w roszłych, wiecznie wesółych żołnierzach Stanów rozpoznać potomków tych, którzy przelali i krew i pot w latach 1860 i następnych, ale są oni rezultatem tej walki. Imże dlatego jest w nich tyle pewności zwycięstwa. W ciągu 150 lat wzrosła ludność z 4 do 140 milionów, urocznicza się mozaika religijna, językowa, rasowa. Element nordski, anglosaski, stracił liczbowa przewagę, ale wzrosła spójność narodowa, i w najbardziej krytycznym momencie element pozornie obcy stał się czynnikiem spójności.

IV

Tę szarą emigracyjną masę przyciągały do narodu amerykańskiego wielkie siły atrakcyjne. Można je podzielić na dwie kategorie: duchowej i materialnej natury.

Tworzenie Stanów Zjednoczonych od pierwszej chwili polegało na podkreśleniu w człowieku wszystkich, co podnosiło w nim samą poczuć własnej wartości i siły. Za przykład Stanów — to chartered colonies. Władze królewskie przyznawały poszczególnym jednostkom czy też kompaniom prawo tworzenia kolonii. Owe przywileje uprawniały osoby prywatne do rozpoczęcia działalności, którą rząd ryżko brały one na siebie w całości. Element inicjatywy, na zdrowie kalkulacji, osobistej

odwagi, nawet pewna awanturnicza żylka — oto czynniki, które znalazły się u podstawy budowania zaczątków Stanów.

Drugim elementem była emigracja religijna, jeżeli tego terminu można użyć. W początkach wieku XVII dla skrajnych sekt protestanckich w Anglii powstały szczególnie niekorzystne warunki bytowania. Gdzieś tam daleko wabła ziemia nie tylko bogata i nieczyja, ale wolna, gdzie, jak we wszystkich nowych środowiskach, była tolerancja ludzi, żyjących szerokim oddechem przestrzeni i podstawowymi zasadami chrześcijaństwa i braterstwa człowieka białego wobec wspólnego niebezpieczeństwa. Ten czynnik wolności i tolerancji religijnej utrwalił się. Oprócz tego utrwaliło się praktyczne podejście do etyki religijnej,

byte w ten sposób bogactwo nie ma służyć osobistym potrzebom i celom. Stąd też połączenie elementu raubritterstwa z elementem purytanizmu. Stąd też szacunek społeczeństwa dla powodzenia bez względu na drogę zdobycia majątku, stąd z uznaniem przyjmowane przez społeczeństwo fundacje od osób, na których więcej kondemnatek ciążyło niż się zapamiętało dano.

Szacunek dla inicjatywy, nienawieście się z przeszłości, tolerancja przyciągały tych wszystkich, którzy z tych czy innych powodów nie mogli pomieścić się w sztywnych ramach społeczeństwa europejskiego. Stąd też przywiązanie do nowej ojczyzny u ludzi, którzy znaleźli tu nie tylko chleb, ale i spokój, ale i wiarę w siebie.

Z POGRZEBU GEN. SIKORSKIEGO



Polscy lotnicy niosą na swych barkach trumnę ze zwłokami gen. Sikorskiego do grobu na cmentarzu lotników polskich w Newarku.



Żołnierze Brygady Podhalańskiej trzymają straż przy trumnie gen. Sikorskiego w katedrze Westminsteru. Na trumnie przy szpadzie Generała leży wianuszek żółtych róż od p. Sikorskiej.

jako zasadniczego regulatora życia. Do dziś dnia, gdy przybył z Europy wyjazd z komunalnych przywilejów, którymi miast na wschodnim brzegu, coraz więcej będzie spotykał surowości i zasad pierwszych chrześcijan wśród codziennych ludzi. Aż wreszcie w małych miasteczkach Middle West'u spotkać się gminy, żyjące pod surowymi prawami ochrony sabatu, kiedy to zamiera wszelki ruch i życie.

Praktyczne konsekwencje w dziedzinie życia codziennego wyglądają nieco groteskowo. Współczesny Amerykanin jest skłonny dopatrywać się osobistej interwencji boskiej i bogostawstwa w każdej imprezie, która mu się uda. Praca jest obowiązkiem obywatela, a powodzenie w niej osiągnięte jest dowodem nagrody i właściwości obranej drogi. Zdo-

zewewnętrznej jest przedmiotem szczegółowej dyskusji. Problemy stanowe schodzą na plan dalszy. I o ile w życiu codziennym człowiek z ulicy nie odczuwa istnienia państwa czy to w organizacji stanowej, czy też jako Związku, to przy sposobności omawiania zasadniczych problemów, przy których zdaje sobie sprawę z przynależności do państwa, właśnie interesy Związku jako jego wyraziela wysuwane są na plan pierwszy.

Wyjaśnianie zjawisk społecznych jest zawsze najbardziej fascynującym, przy którym jednak łatwo narażać się można na zarzut, jak czy pomyłek. Nie ma bowiem strachu, któryby nie wpływała na formowanie się społeczeństwa. Tu zadanie zostało ułatwione, albowiem na poparcie tez słusznych czy niesłusznych obecnych rozważań przemawia fakt, że w okresie 150 lat powstał wielki naród, który w obecnym dziejowym kryzysie cywilizacji i kultury odgrywa decydującą rolę. Rozmiany artykułu nie pozwalają na poruszenie wszystkich dowodów i zilustrowanie wszystkich czynników, które się na to złożyły. Trzeba jednak obraz ten uzupełnić charakterystyką Stanów Zjednoczonych w stosunkach międzynarodowych, a zwłaszcza trzeba nawiązać do najwyższej demonstracji siły i spójności narodowej, jaką jest dzisiejsza wojna.

Są zdania, opierające się na imperialistycznym podejściu do zagadnienia polityki międzynarodowej, że Stany Zjednoczone nie miały, przynajmniej do niedawna, świadomej, konsekwentnej linii w swoich stosunkach międzynarodowych, któryby szła po myśli interesów tego kraju. Powodują się np. na to, że gospodarcza ekspansja Stanów Zjednoczonych była zawsze wynikiem inicjatywy prywatnej, do której nie dociepano interesów narodu i państwa. Że udział kapitału amerykańskiego w gospodarce organizacji świata nie był nigdy środkiem w rękach naczelnych władz amerykańskich. Teza niewątpliwie słuszna. Wynika ona jednak z zasadniczego nastawienia narodu, który pozostał wierny indywidualizmowi i jednostkowemu wysiłkowi. Wall Street miała inny stosunek do Białego Domu niż Londyńska City do Downing Street.

Mimo to, a może właśnie nawet dlatego, można postawić tezę, że obecny udział Stanów Zjednoczonych w tej wojnie jest wynikiem konsekwentnej linii polityki zagranicznej, prowadzonej od tego momentu, gdy Stany Zjednoczone zabrały głos w stosunkach międzynarodowych. Takim krytycznym momentem był rok 1823, gdy wskutek groźb, że Święte Przemyśle będzie interweniowało na rzecz korony hiszpańskiej przeciw zbuntowanemu koloniam, minister spraw zagranicznych Stanów Monroe ustalił zasadę niedopuszczania interwencji państw pozaamerykańskich w sprawy obu Ameryk. Na tym tle wyrósł kierunek w polityce wewnętrznej amerykańskiej, reprezentowany przez t. zw. izolacjonistów, którzy nadali temu oświadczeniu zupełnie inne znaczenie, niż wymagały tego warunki z roku 1823. Jakaż bowiem była sytuacja Stanów Zjednoczonych wówczas? Nie były one wówczas potęgą. Szczere w swojej polityce, dysponowały wówczas bodaj tysiącem żołnierzy, nie miały floty wojennej. Były krajem rolniczym. Izolacjonści nie rozumieli doktryny Monrogo, ale nie przeszkodziło Stanom Zjednoczonym w odegraniu zasadniczej roli. Doktryna Monrogo bowiem była aktem śmiałym i realnie rzecz biorąc, przeobrażającym możliwości wojskowe Stanów Zjednoczonych. I jako ten akt śmiały, przeciwstawiający się przewadze brutalnej siły nad prawem i słusznością, powinna być rozumiana inaczej, tak jak ją w polityce interpretowały dzieje stosunków międzynarodowych Stanów Zjednoczonych.

Dzisiaj sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Z kraju rolniczego, który nie potrzebował ży-

wych stosunków z zagranicą w roku 1823, zmieniły się Stany w kraj wysoce przemysłowy, o ogromnej ekspansji gospodarczej i o dużych cyfrach eksportu. Wprawdzie, ogólnie rzecz biorąc, produkcja amerykańska jest obciążona przede wszystkim na rynek wewnętrzny, to jednak rola eksportu, który obejmuje około 1/10, z grubszą białą, produkcją, ma zupełnie zasadnicze znaczenie dla równowagi gospodarczej, dla utrzymania prawidłowego poziomu zatrudnienia i dla opłacalności inwestycji. Stany Zjednoczone w ten sposób zostały ściśle związane z resztą świata. Nie tylko dlatego, że dzisiaj rozwój techniki powoduje, że Ocean Atlantycki jest zaledwie troszeczkę szerszy od Kanału La Manche w roku 1914.

Dlatego też obok tej zasadniczej linii, która przenikała całą politykę Stanów Zjednoczonych, jako wyraz śmiałości koncepcji politycznej, można odróżnić dwa zasadnicze okresy: pierwszy do roku 1898, to jest do zakończenia wojny hiszpańsko-amerykańskiej, w którym to momencie Stany Zjednoczone definitywnie wychodzą na Pacyfik, i od tej daty.

Wyrazem polityki pierwszego okresu, w którym Stany Zjednoczone urządzały sobie stosunki z sąsiadami na północ i na południe od swych granic, była likwidacja resztek wpływów niepożądanych państw europejskich na terenie obu Ameryk, było popieranie każdego ruchu wolno-amerykańskiego.

W drugim okresie Stany Zjednoczone przeprowadziły rozpoznanie i zajęcie wyściółczych pozycji do rozprawy z głównym swoim przeciwnikiem. Bardzo ciekawe jest zestawienie dwóch dat: 1898 — zakończenie wojny hiszpańsko-amerykańskiej, po której Stany Zjednoczone wychodzą na Pacyfik, i daty 1894 — zawarcia pokoju między Chinami a Japonią, stanowiącego zakończenie krótkiego epizodu wojennego, w którym Japonia wykazała swoją nowoczesność i siłę. Analogie do historii Stanów Zjednoczonych można znaleźć tylko w historii Japoni po 1870 roku. W roku 1909 Stany Zjednoczone zyskują kontrolę nad Kanałem Panamskim, zabezpieczając sobie w ten sposób możliwość działania na dwa fronty. W Wojnie Światowej biorą udział, jako jeden z narodów stowarzyszonych, między innymi z Japonią.

Zwołana w roku 1922 z inicjatywy Stanów Konferencja Waszyngtońska mierza między innymi do uregulowania spraw chińskich i ustalenia równowagi sił na Pacyliku.

Jeżeli nie liczyć owych strażów armatnich, które okryły amerykańskie oddziały w 1853 roku dla wymuszenia dopuszczenia na teren Japonii, to pierwszy konflikt z Japonią, i to odrazu na śmierć i życie — to dzisiejsza wojna. Wojna ta ma zupełnie inny charakter niż udział w wojnie poprzedniej. Idzie o przeciwstawienie się sobie dwu krajów, których szybkość wzrostu i potęgę miały podobny przebieg w oparciu jednak o zupełnie odmienną ideologię, o zupełnie odmiennie etyki.

Udział w tej wojnie jest ze strony Stanów Zjednoczonych przedsięwzięciem, w które wkładają one cały swój kapitał ideologiczny i materialny. Jest walką nie tylko o rząd zasąd przeciwnych fašyzmowi, hitleryzmowi czy systemowi japońskiemu, ale jest walką o organizację gospodarczą świata, w myśl amerykańskich koncepcji. Wynika to zupełnie niedwuznacznie z przemówień niedyktowanego pana Wallace'a, wiceprezidenta Stanów Zjednoczonych. Do tej walki idzie naród pod przewodnictwem wielkiego przywódcy Franklina Delano Roosevelta, którego rola w Sprawie Polskiej ma dla nas specyficzne znaczenie.

Można mieć wątpliwości co do tego, kto wygra wojnę, ale niech nie ma nikt wątpliwości, że jeżeli te wojnę wygrają Stany Zjednoczone, komukolwiek uda się przemyścić do przyszłego rządu świata któreś z tych zasad, z jakimi Stany Zjednoczone w tej chwili walczą.

Z polskiej literatury ekonomicznej

W Londynie ukazał się czwarty z kolei numer organu Stowarzyszenia Ekonomistów Polskich — „Ekonomista Polski”. Trzy poprzednie numery „Ekonomisty” w znacznej mierze poświęcone były sprawom gospodarstwa polskiego, względnie Europy środkowo-wschodniej.

Dalsze artykuły omawiają: plan Beveridge'a, zasady organizacji przemysłu, światową produkcję statków handlowych, sytuację produkcyjną Rzeczypospolitej w trzecim roku wojny oraz sytuację gospodarczą północno-zachodniej Afryki (Francuskiej). Resztę numeru wypełniają informacje gospodarcze o Brazylji, Japonii, Niemczech, ZSRR, Włoszech, Grecji, Rumunii, a także o sytuacji gospodarczej w Polsce pod okupacją niemiecką.

wskutek konkurencji z przemysłem Ruhry i wskutek braku rynków zbytu w naturalnym swym zapleczu w Polsce i w innych krajach Europy środkowo-wschodniej.

Dalsze artykuły omawiają: plan Beveridge'a, zasady organizacji przemysłu, światową produkcję statków handlowych, sytuację produkcyjną Rzeczypospolitej w trzecim roku wojny oraz sytuację gospodarczą północno-zachodniej Afryki (Francuskiej). Resztę numeru wypełniają informacje gospodarcze o Brazylji, Japonii, Niemczech, ZSRR, Włoszech, Grecji, Rumunii, a także o sytuacji gospodarczej w Polsce pod okupacją niemiecką.

Nowości
BEATA OBIERTYŃSKA
FAUSTYNA
Opowieść
Nakładem wydawnictwa „W Drodze”
w Jerozolimie.
Cena 150 milisów.

Udzielamy pożyczek
w każdej wysokości na najniższych warunkach, pod zastaw brylantów, złota, srebra i wszelkich wartościowych towarów. Kupujemy po wysoce cenach, wyroby ze złota i srebra.
LOMBARD HOUSE
RITTER & OHLERSTEIN
TEL-AVIV. ALLENBY 64

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

CELE WOJNY W ŚWIELE OPINII BRYTYJSKIEJ

Od początku wojny nikt po stronie Sprzymierzonych nie podawał w wątpliwość przyczyny, dla której wojna wybuchła. Według zgodnej opinii był nią niemiecki imperializm, który poprzez agresję na Polskę i inne kraje Europy przygotował sobie drogę do panowania nad światem. Stąd też jasnym jest, że zasadniczym celem, dla którego walczą Narody Sprzymierzone, jest cel samoobrony. Ale utrzymać się przy życiu wobec ataków wroga — to cel jedynie negatywny. Myśl polityczna brytyjska wybiera znacznie poza te ciasne ramy negatywne i stara się z jednej strony zbadać przyczyny i warunki, które umożliwiły imperializmowi hitlerowskiemu dojście do głosu, z drugiej strony szuka sposobów takiego urzeczywistnienia świata po wojnie, by nową wojnę zapobiec a zmaltretowanej ludzkości zapewnić erę pokoju i pomyślności. Ten cel pozytywny jednak dotychczas nie został w pełni sprecyzowany. Rząd brytyjski nie mógł oczywiście w ciągu trzech lat toczącej się wojny uchylić się w zupełności od wypowiedzi na ten temat, jednak poza paroma deklaracjami, które nie obejmowały całości zagadnienia, nie dał żadnego generalnego ujęcia.

Tymczasem opinia publiczna w Wielkiej Brytanii już od dłuższego czasu domaga się sprecyzowania celów wojny, a czołowi publicyści i politycy prowadzą na ten temat ożywioną dyskusję.

Wypowiedzi w tej mierze można zgrubsza posegregować na parę głównych grup: po pierwsze — grupa ogólny-ideologiczna, po drugie — grupa konkretnych planów, po trzecie — grupa wypowiedzi kół miarodajnych.

W grupie pierwszej na szczególną uwagę zasługuje interpelacja członka Izby Gmin, Mandera. W dn. 12 lutego 1941 r. Mander oświadczył, iż pragnie wiedzieć w Izbie debatę nad swym wnioskiem, który brzmiał następująco:

„1) Zdaniem tej Izby, efektywna propaganda na całym świecie alianckich celów pokoju będzie potężną bronią, pomocną w wygraniu wojny.

2) Warunki pokoju mają zawierać przywrócenie wolności wszystkim narodom, pokonanym przez faszystowską lub nazistowską agresję w czasie ostatnich lat.

3) Zapewniona będzie dostawa żywności dla narodów Kontynentu, skoro tylko nieprzyjacieli złoży broń, a okupowane terytoria zostaną ewakuowane.

4) Żadne rokowania nie będą prowadzone z obecnymi reżimami Niemiec i Włoch.

5) Ma być stworzona światowa organizacja, posiadająca siłę wojskową, która zapobiegnie dalszym agresjom, oraz odpowiedni mechanizm dla pokojowego załatwienia sporów międzynarodowych... i popierania jednoci ekonomicznej świata i rozwoju jego bogactw dla ogólnego pożytku.

6) Zniesienie bezrobocia, niedożywienia, złych warunków mieszkaniowych i braku ułatwień oświatowych, tak aby wszystkie rasy i wyznania mogły żyć razem w pokoju, wolności i bezpieczeństwie, używać dobrych rzeczy w życiu zarówno w dziedzinie duchowej, jak i fizycznej, i oddawać wzajemnie usługi“.

Komentując poszczególne punkty proponowanej rezolucji, p. Mander powiedział m. in. „Rezolucja tego rodzaju będzie moim zdaniem potężną bronią... do wygrania wojny... inaczej być może nie miałoby wielkiego sensu opracowanie jej“. Albowiem wojna może być wygrana tylko przez współdziałanie trzech rodzajów oręża: „blokady, przewagi lotniczej i załamania moralnego krajów nieprzyjacielskich w rezultacie propagandy“. „Przypuszczam, że Armie Sprzymierzone będą oglądane w głównych miastach Niemiec, tak żeby Niemcy nie mogli już nigdy więcej powiedzieć, że nie zostali naprawdę pokonani“.

Komentując drugi punkt, mówiący o wolności, p. Mander wyraził zdanie, że Anglicy będą mogli, ale nie będą zobowiązani do przyjęcia granic międzypaństwowych, które istniały w chwili wybuchu wojny. Punkt ten oznacza, że Czechosłowacja, Polska, Norwegia, Holandia, Belgia i Francja będą musiały odzyskać wolność, ale nie ponadto.

Punkt o nieprowadzeniu rokowań z obecnymi Niemcami i Włochami łączy się z zapewnieniem tym krajom po wojnie możliwości swobodnego wyboru formy rządów, jakaby im najbardziej odpowiadała. Niemcy mają mieć swobodę wewnątrz, ale od zewnątrz winny być kontrolowane. Trzeba będzie przedsięwziąć kroki celem zapobieżenia dalszym agresjom i musi nastąpić długi proces reedukacji narodu niemieckiego. W razie jednak — zastrzegł się p. Mander — gdyby Niemcy byli tak nierozumni, by ponownie zgodzić się na dyktaturę, trzeba będzie rozstrzelać nad nimi także kontrolę wewnętrzną. Cytując słowa Sir Roberta Vansittarta, że w „Niemczech nie było nigdy odpowiedniej liczby dobrych Niemców we właściwym momencie“, p. Mander daje wyraz przekonaniu, że Niemcom zbyt ufać nie można i że należy w przyszłych Niemczech popierać instytucje demokratyczne.

Mówiąc o międzynarodowej organizacji, p. Mander stwierdził, że w ciągu ostatnich 20 lat Anglicy nauczyli się chyba dwu lekcji: po pierwsze, że Anglia nie jest w stanie izolować się od wojen, odbywających się w innych częściach świata, po drugie, że nie można polegać na słowach, zawartych w traktatach. P. Mander uważa za atrakcyjny pomysł roz-

szerzenia Imperium Brytyjskiego przez przyłączenie doń drogą specjalnych umów sprzymierzeńców Anglii w obecnej wojnie.

Inicjatywa posła Mandera padła na grunt podatny. Dyskusja o celach wojny ożywiła się, pomimo stwierdzenia premiera, że „nie sądzi on, żeby istniała jakakolwiek potrzeba debaty na ten temat“. Jednakże — powiedział premier Churchill — „to jest wolny kraj“, i on, premier, nie sprzeciwia się tego rodzaju debacie.

Zdanie p. Mandera, że propagowanie celów wojny winno pomóc w wygraniu jej, podzielił także poseł Lipson: „Powinniśmy być zdolni do zaoferowania ludowi niemieckiemu i ludom innych krajów rodzaju nadziei, że jeżeli zdołają się na odwagę w odpowiednim momencie, będą mogli być pewne rozsądnej przyszłości“.

Motywn ten — konieczności sprecyzowania celów wojny — potwierdza się także w innych wypowiedziach. Warto tu przytoczyć opinię b. ministra rumuńskiego, Tilea, który ponieważ przebywał w Londynie, może być uważany za integralnie związanego z prądami, nurtującymi elitę intelektualną Anglii. Ukazanie podbitym narodem Europy — mówi on — wizji świata powojennego, zagwarantowanie im naprawę nowego porządku, wolności i dobrobytu, zamieni opór bierny w czyny, przyspieszając zwycięstwo („The Contemporary Review“, listopad, 1942 r.).

W podobny ton uderza major Guj Lloyd, członek Parlamentu. W artykule p. t. „Cele wojenne naszych aliantów“ („Free Europe“, z 23 października 1942 r.), domaga się on skonkretyzowania celów wojennych, dając jako przykład niewłaściwej mgławicowości Statut Ligi Narodów, który składał się tylko z 20 artykułów na ogólną liczbę 500 traktatu wersalskiego. Major Lloyd żąda, by już teraz sprecyzowano, jakie mają być granice po wojnie, jakie zostaną stworzone federacje i jak

zostanie załatwiona sprawa gospodarki obszaru środkowo-europejskiego. W dalszym ciągu nawołuje on, by zarówno Polacy, jak i Czesi, publicznie powiedzieli, jakie mają być ich zdaniem granice Rzeszy, ustroj Austrii, organizacja basenu dunajskiego, państw bałtyckich i t. p. Specjalną uwagę poświęca on Polsce, wyrażając zdanie, że zasługi wojenne Polski są ogromne i że należy poważnie zająć się sprawą przyłączenia do niej Prus i całego Górnego Śląska. „Messieurs les Polonais, Messieurs les Tchecoslovaques parlez les premiers!“ — tym zwrotem kończy on swe rozważania.

Ważnym elementem dyskusji o celach wojny jest krytyka rządu brytyjskiego, że jeszcze się w tak ważnej sprawie nie wypowiedział. A wypowiedź taka mogłaby być także rodzajem broni w walce z Osią.

„W miarę, jak nasi alianti kontynentalni coraz bardziej wierzą w wygranie wojny, coraz mniej wierzą oni w wygranie pokoju“ — pisze „The Nineteenth Century and After“ w zeszycie listopadowym z 1942 r. Z drugiej strony Niemcy im bardziej wątpią w wygranie wojny, tym bardziej są pewni wygrania pokoju.

Ostre te słowa pokrywają się z tym, co poseł Lipson powiedział już w r. 1941 w Izbie Gmin: „Jeżeli się żąda, a przypuszczam, że to żądanie oparte jest na znacznym poparciu mas („public support“) — stwierdzania celów wojny, to kwestia ta jest otwarta dla fałszywej interpretacji, skoro się nie orzymuje odpowiedzi na takie żądanie“.

Przed krytyką pod tym względem nie ostały się nawet dwie mowy tronowe: z listopada 1942 r. W odniesieniu do pierwszej poseł Sir Richard Acland powiedział, że jeżeli ludzie mają przejść przez piekło na ziemi i cierpieć wszystkie ograniczenia w swej stopie życiowej muszą oni być przekonani, że robią to dla

czegoś, co jest tych wysiłków warte. „Dyskutujmy na te tematy, — apeluje Sir Richard do Izby, — nie trzymajmy sprawy w cieniu, jakby była czymś nieprzystojnym!“.

Mowę zaś króla z r. 1942 socjalistyczny „Daily Herald“ z 18 listopada 1942 r., opatrzone w następujący komentarz: „Wzmianki o odbudowie powojennej w mowie króla były krytykowane, ponieważ nie mają wystarczających cech pilności... Mr. Churchill musi przyznać, istnieje powszechny gód wiadomości o celach, za które i o które walczymy“.

Do omawianej grupy powiedzi zaliczyć wypada wreszcie opinię słynnego pisarza H. G. Wells'a, który propaguje porozumienie między narodami już teraz, w czasie wojny, i dla którego samo prowadzenie wojny, a nawet jej wyniki nie są tak ważne, jak właściwe zorganizowanie świata, któryby posiadał wspólną bazę ideową. Wells zaleca przyjęcie przez wszystkie państwa bez wyjątku Deklaracji Praw Człowieka, przygotowanej przez Komitet pod przewodnictwem Lorda Sankey'a, skąd wynikałyby konieczność nadania światu uniwersalnej konstytucji.

Tego rodzaju jednak ujęcie zagadnienia nie odpowiada szeregowi ludzi trzeźwych, którzy, ani nie wylewając łez nad tym, że rząd jest tak powściągliwy, ani też nie przywiązując wagi do zbyt uniwersalistycznych teorii, wysuwają pewne konkretne projekty. W tej drugiej grupie wypowiedzi na temat celów wojny na uwagę zasługują poglądy p. Suha'y, ogłoszone w broszurze, wydanej w 1942 p. t. „Economic Problems of Eastern Europe and Federalism“. Ponieważ, zdaniem autora, Europa Wschodnia zawsze żyła w pewnym upośledzeniu gospodarczym, należy zacząć od uregulowania spraw gospodarczych. P. Suha głosi konieczność gospodarki planowej, i to w ramach związków regionalnych, lub federacji. Federacje dadzą narodom wiele korzyści, między innymi odciążenie budżetów wojennych poszczególnych państw, które były przed wojną rozdęte do absurdu (Polska 33% całkowitego budżetu, Jugosławia 32%, Grecja 40%, Rumunia 37%). Jeżeli do tego dodać koszt autarkii gospodarczej — otrzymamy wielkie sumy wydawane bezproduktywnie.

We wspomnianym już artykule minister rumuński Tilea także zaleca federalizm, nazywając go „niestosowaną dotychczas w wojnie bronią“. Masy — twierdzi np. Tilea — patrz na umowy: polsko-czeską i jugosłowiańsko-grecką, jako na kamienie węgielne lepszej i spokojniejszej przyszłości“.

Wyżej cytowany poseł Mander, obok ogólnych dezyderatów, które stawia, stwierdza także: „...należy przyjąć do wiadomości i mile powitać akcję, podjętą przez rządy Polski i Czechosłowacji... celem utworzenia federacji między oboma krajami, która wejdzie w życie w przyszłości i wokoło której, jak się można spodziewać, będzie stowarzyszonych możliwie jak najwięcej narodów w tej części świata“.

Notując z kolei wypowiedzi czynników „miarodajnych“, nie można pominąć oczywiście takich dokumentów, jak Karta Atlantyczna, czy też przymierze angielsko-sowieckie z dn. 26 maja 1942 r.

Warto tu przytoczyć słowa, które wypowiedział w trakcie debaty wszczętej w r. 1941 przez p. Mandera, major Attlee, Lord Prywatnej Pieczęci, a zarazem leader Labour Party. „Myślę — powiedział on — że określenie celów pokoju nie jest tak łatwe, jak to się niektórym wydaje“. Major Attlee przeprowadza rozróżnienie między celami pokoju, warunkami pokoju i warunkami rozejmu: „Zgadza się... że świadomość sprawy, za którą walczymy, jest żywotną bronią w tej wojnie, jednak nie jest to równoznaczne ze szczegółowym obrazem świata powojennego. Jest stosunkowo łatwo wyłożyć cele wojny prawie w jednym zdaniu. Potem przychodzi się do stadium pośredniego, gdzie być może można ustalić ogólne zasady. Jeżeli się tu zatrzymać, spotka się z zarzutem, że jest się mgławicowym. Jeżeli się zaś pójdzie dalej, skonstatuje się, że wchodzi się w szczegóły, których w tej chwili nie ma się do dyspozycji, ponieważ wygląda to na próbę ubezpieczenia zająca zanim się go schwyci“.

Jak widać major Attlee, jako wice-premier, woli być ostrożny w formułowaniu celów wojny.

Więcej temperamentu okazuje Sir Stafford Cripps, przewodniczący Izby Gmin, b. ambasador w Z.S.R.R. Zdaniem jego, po zwycięskiej wojnie, należy zdecentralizować przemysł wojenny Rzeszy i włączyć go do krajów otaczających Niemcy. „Aby uczynić to posunięcie skuteczniejszym, sąsiedzi Niemiec muszą przestać być mąkami i niezależnymi jednostkami narodowymi, a muszą stać się silnymi i dobrze powiązanymi federacjami, posiadającymi dość rąk roboczych, by rozbudować wielki, ciężki przemysł“. Cripps zaleca także stworzenie międzynarodowej armii lotniczej dla kontroli porządku w Europie.

Reasumując powyższe poglądy opinii brytyjskiej na temat celów wojny, można stwierdzić niewątpliwie dwie następujące rzeczy: po pierwsze, opinia ta domaga się od rządu skrytalizowania celów, dla których walka się toczy, uważając to za niezbędne dla propagandy wewnętrznej i zewnętrznej, po drugie: wśród konkretnych planów urzeczywistnienia świata powojennego coraz silniej wyłania się idea federalizmu w przeciwstawieniu do ciasnych, kosztownych i w skutkach swych niebezpiecznych dla pokoju haseł nacjonalistycznych.

ZDZISŁAW BRONCEL

N O C E

I

Rozczesujemy palcami miękkie włosy,
Pijemy syrop ciemności, połykamy weronal gwiazd —

Półprzymotni, zwieszoną dłonią,
Ciągniemy losy:
Na sny o wojnie, sny o miłości
I o ptakach — wracających do gniazd.

Jesteśmy nadzy.
Wiążą nam ciało w niewidzialne bandaże,
Opadamy na chłodne posłanie,
I twarz nam zakrywa milczenie,
Jak chustka przed rozstrzelaniem.

Na ciemną podłogę, jak srebrna róża
Na czarny aksamit — upadł blask.
— Napróżno wzywać pomocy!
To księżyc,
Pływająca po niebie Meduza,
Odbiera nam ostatnią z łask

— łaskę nocy

II

Noc — to spotkanie, dzień — to rozłaka,
Gwiazdy — to świece w wielkich pajakach,
Przy świecach czytamy rzecz zapisaną
Zgłoskami róż w nocy ogrodzie —

Że wieczór ciszą leży na łąkach,
Dłonie kochanków spłoty się zmierzchem,
Słońce mdlejące piło ustami
Księżyc pobladły — i byli sami,
Stygający w nocy kościelnym chłodzie: —
Pasterz i jagnię pod gwiazdą ścianą,
Usta o świcie drżały im jeszcze
Jak drżą wzruszone koła na wodzie —

I że tak codzień! —
Gdy pocałunkiem jak ciepłą raną
W samo dno pragnień cień twój upieszczę.

III

Kochać cię, wielbić, ogarniać — to mało.
Chcę tak być tobą, jak sobą jestem,
Krwia własną w twoje przepływające ciało,
Zginąć — i twoim stać się jestestwem.

Wrastać do głębi, przenikać w szpik kości,
Upadać tętnami w skroniach i w udach.
Związać twe nogi arkanem miłości,
Zabijać ciebie i wskrzeszać jak w cudach.

I gdyby Bóg mi cię wydarł ze szczęścia,
Stać się całunem w dławiącym grobie,
By wieczność całą mieć cię w objęciach
I w proch się rozsypać przy tobie.

IV

Odległość — mierzę miarą snów
I brak twój — nocy zjawą,
Gdy w sen upadam, tak jak w rów,
Kopany pod Warszawą.

Sypie się ziemia — tonny lat,
Grzebie nas nasyp życia,
I tylko sen wraca świat:
Od śmierci do powicia.

Sztolnią ciemności schodzę w głąb,
Przebijam piętra wspomnień,
W podziemiach czasu szukam rąk,
Wciąż wyciągniętych do mnie.

Rozrzucam przeszłość, wstrząsam gruz,
Nakryty nocy kaskiem;
Tych nieobecnych szukam ust,
Warg, zasypanych piaskiem.

Godzina w ciszę wbija gwoździ,
Zaciskam trumnę powiek —
Jakże mi trudno z tobą pójść,
Jakże mnie więzi: człowiek.

Gdzie jesteś? — Powiedz! — Przebij mur!
Ciemności! — twarz swą objaw!
— Nim nas poranny weźwie kur,
Nim senny zgaśnie zodiak.

Daleko — długo — kiedyż więc?
Zbyt długo — „nigdy“ znaczy...
Z nieprawdy dni uciekam wstecz
W Warszawę — rów rozpaczy.



MASZYNY BIUROWE

Reperacje — wszelkie artykuły biurowe —
Pieczętki — Polskie czołmaki do maszyn do pisania

Artykuły „Utility“ na składzie.

WYPOSAŻENIE BIUROWE BRAUN & SON

Tel-Aviv,

ul. Herzla 13

Tel. 2623

TEODOR PARNICKI

DOMINUS IMPERATOR ET DOMINUS PAPA *)

Rzym nie dochował wierności Grzegorzowi Piętemu. Jeszcze kazał sobie dziekować że tylko wypadła — nie zabija. Na wieść Teodoryka błysnęły na nowo srebrne orły, znak Patrycjusza. I na nowo rozgościł się u świętego Piotra i u świętego Jana i u świętego Wawrzyńca dźwięczny, radosny, zmysłowy kobiecy śmiech.

Pełne upokorzeń i niebezpieczeństw wygnanie dzielił z Grzegorzem Piątym Bolesław Lambert i Tymoteusz Tuskulańczyk. Wbrew podejrzeniu papieża, nikt ich nań nie nasał, ale też i nikt ich doń nie przysłał, pomysł ofiarowania wygnancowi swych służb w najcięższej dla niego chwili zrodził się w głowie samych wyrostków, bez czichbądź sugestji.

Przeszli z nim całą drogę od Rzymu do Pawii — zaiste krzyżową drogę, zarówno dla jego dumy, jak też i dla ich wierności. Traktował ich wyniosłe i opryskliwe — gdy orszak jego, na ziemiach Tuscji i królestwa Italii, zaczął rósć z dnia na dzień, z godziny na godzinę, coraz rzadziej odywał się do swych dwu pierwszych towarzyszy, można rzec, coraz rzadziej spozstrzegał że wogóle istnieją. W Pawii otoczony pysznymi dworami biskupów, których groźnymi wezwaniami i zapowiedziami klątw ściągął do siebie z całego królestwa, wogóle ani słowem nie odezwał się do żadnego z obu wyrostków przez całą zimę. Ale gdy imperator Otto Trzeci stanął na czele potężnego wojska w dolinie padajskiej, gotów nieść pomoc krewniakowi-papieżowi, odrazu na wstępie pierwszej rozmowy wyłoniły się imiona Bolesława Lamberta i Tymoteusza. Kiedys, w najgorszym, najcięższym, najbardziej beznadziejnym etapie ucieczki w górę Tybru. Grzegorz Piąty — jak zawsze ostro i prawie gniewnie, tym zaś razem nadto i ironicznie, rzucił swym towarzyszom pytanie: „Cóż, poszliście za Panem Papieżem, licząc na wielkie nagrody, na hojną podziękę?!” Zdaje się, że dziękować wam będą jedynie rybki tybrowe, tucząc się naszymi ciążami, które rybacy zepchną do rzeki, gdy z głodu zdechniecie... Ale właśnie w takiej chwili można pomarzyć i pogwarzyć: gadajcie, jakiej nagrody spodziewacie się od Pana Papieża?!”

I oto, w Pawii, siedząc na wysokim, niewygodnym krześle naprzeciw tonącego w miękkich, różnobarwnych poduszkach imperatora, papież wysunął jako bezwzględne żądanie to wszystko, co usłyszał wówczas od trawionych znuzeniem, głodem, strachem a przede wszystkim żalem do niego o takie traktowanie — chłopaków.

Otto Trzeci słuchał z zamkniętymi oczyma. Chwilami papieżowi zdawało się, że spi — ale ilekroć pytając urywał potok argumentów, jakimi wspierał sprawę Bolesława Lamberta i Tymoteusza Tuskulańczyka, cesarz nie unosząc wcale w górę powiek, poziomym skiniem głowy dawał znać, że czuwa... że słucha... że prosi o dalsze szczegóły... I gdyby mogli Tymoteusz i Bolesław Lambert widzieć i słyszeć swego Pana Papieża w tej chwili! Zdumieliby się, iż oto potrafi być tak wymowny, że aż gadatliwy... taki dla nich zawsze surowy, opryskliwy, często niesprawiedliwy, że aż bezlitosny — z taką przemawia w ich sprawach serdecznością i zapalczywością...

W pewnej chwili cesarz przerwał papieżowi:

— Widzę, drogi bracie, że więcej cię obchodzi, w jaki sposób wynagrodzimy dwu przemyślnych, ale ostatecznie mało znaczących chłopaków, niż to jak odzyskamy Rzym i jak mu zapłacimy...

Przy słowie „zapłacimy” cesarz otworzył oczy. Były jasne aż do szklistości zimne i jakby skamieniałe — a przecież śmiały się. Śmiały się śmiechem strasznych dzieci.

— Zresztą, — ciągnął cesarz, wymawiając każde słowo powoli, długo, z lubością, z pewną gardłową muzykalnością, która tak niesamowicie upodobiła jego głos do matczynego, że papież omal nie drgnął, — zresztą, masz słuszną, nagrodzenie Tymoteusza i kara dla tych, co podnieśli Rzym przeciw Tobie — to właściwie jedno... Chce smarkacz Teodory Stefanii? Wspaniale — nie tylko ją dostanie, ale niech się Twoja Świętobliwość zbytnio nie gorszy, każe przymocować Krescencjusza łańcuchami do własnego łoża, gdzie właśnie z umiłowaną jego małżonką spoczniesz Twój umiłowany Tymoteusz... A dopiero nad ranem, gdy oboje miłośnicy będą spali po rozkosznych nocy, odczepisz Krescencjusza, by gdzieś uciąć mu głowę... Ha, można jeszcze będzie tę głowę posłać obudzona parze na tacy wraz z rannym posiłkiem...

Papież omal nie upadł wraz z wysokim, niewygodnym swym krzesłem. Tak silnie pchnął krzesło imperator Otto, waląc się zniechęca papieżowi do stóp i gwałtownie obejmując go za kolana. Z dołu patrzyły na Grzegorza Piątego już nie śmiejące się oczy strasznego dziecka — ale pełne trwogi i zgrozy oczy dziecka najłekkniejszego z najłekkniejszych, najwrażliwszego z najwrażliwszych...

— Słuchaj, słuchaj, Brunonie, — z naciskiem nazywał papieża jego imieniem chrzestnym, nie sakralnym, tak jakby chciał tym pewnie się ucześcić rodzinnej, braterskiej niemal więzi między nimi, — słuchaj, czy ja nie nadto podle... nie nadto grzesznie obszedłem się ze świętym Janem Chrzciścielem, mówiąc o tej... o tej głowie na tacy?!... Powiedz,

powiedz... czym mu się nie narażił bardzo? Jeżeli tak, to rozgrzesz... błagam cię, zaraz rozgrzesz... Swą mocą Piotrową rozgrzesz... No, żywiej, słyszysz? Podnieś rękę... mów absolucję apostołską...

Zerwał się i tupnął nogą. — Poto przecież jesteś, aby mocą Piotrową mnie rozgrzeszać. Poto! Poto!! Poto Cię przecież po raz drugi wprowadzam do Rzymu... poto ciągnę za sobą Franków, Bawarów, Turynów, ba, nawet Sasów... Sasów z drugiego końca świata zaiste...

Zaczął chodzić po pokoju, który akurat do tego się nadawał — dług, podobny raczej do korytarza... Papież dłuższą chwilę ścigał go w milczeniu uważnym spojrzeniem — potem sucho, wyniosłe i opryskliwe — tonem, który tak dobrze znali Bolesław Lambert i Tymoteusz, jakby z nimi to właśnie mówił, nie zaś z cesarzem, któremu zawdzięczał papieski swój tron, — powiedział:

— Po rozgrzeszenie zgłosił się do któregoś ze swych kapłanów, Heryberta lub Rakkona... Papież nie ma czasu na słuchanie noami spowiedzi chłopaków, nie umiejących panować nad własnym językiem... Krescencjuszowi oczywiście możesz ściąć głowę, ale zapewniam cię, że nie zezwolę na przykucie go do łoża, w którymby spoczęli Teodora Stefania i Tymoteusz. Nie zezwolę. Zresztą, Teodora Stefania pójdzie do łoża z Tymoteuszem nie wcześniej aż utniiesz Krescencjuszowi głowę... To chyba jasne. Inaczej być nie może. Inaczej ani sobie wyobrażam. Bo pozwolę Tymoteuszowi wziąć sobie Stefanię Teodorę jedynie jako słubną żonę — nie inaczej. A taką przecież może one się stać nie inaczej, jak uprzednio zostawszy wdową...

Owe wrześnieńowej nocy, gdy Rzym przyszedł z pochodniami pod mur Leonowy, ciskając olbrzymie kamienie i krzycząc: „Rzeczpospolita”, — Jan Krescencjusz nie wychodził z zaciśniętymi, cyprysami i piniami okólnego domu przy drodze Nomentańskiej.

I kiedy wrzeszczący, tryumfujący tłum zalewał począł ów odcinek drogi i ogrody wokół, i sam dom, — zdawało się, że zaskoczy Krescencjusza... przemocą niemal wywłókił go z sypialni małżeńskiej i napół zaledwie odzianego na ramionach zaniósł na Kapitol, gdzie go — jak tłumok — zrzucił na prastare stopnie, różowe w świetle pochodni a tak chłodne dla nóg, rozgrzanych ciepłymi stopami Teodory Stefania. I tu — u podnóża schodów — pokonił się Rzym Krescencjuszowi jako Patrycjuszowi i Konsulowi. Ze starego gmaszyska Kurii na Forum Romanum ruszył ku Kapitolowi uroczysty pochód senatorów, chorągwi zmartwychwstałej prastarej rzymskiej wolności.

Wśród ojców ojczyzny przeważały prześliczne, chłopięce, prawie dziecięce twarze licznych wnuków Marozji i Teodory, głośniejszych ongi władczyni Rzymu, a jeszcze głośniejszych mistrzyni miłości bujnie owocującej; istotną przecież w senacie siłę stanowił stryjowski Tymoteusza — hrabiowie tuskulańscy, wesoła gromada kudłatych, czerwonołocich, zielonokich zabijaków, którzy wraz z beczkami znakomitego, lekko słodkawego, złocistego wina stoczyli się z rodzimych wzgórz do swego stołecznego zamku koło kolumny Marka Aureliusza, by stamtąd wspierać gorliwie Krescencjusza w zbożnej pracy strzyżenia złotego runa wskrzeszonej republiki wolności.

I Tuskulańczycy, i Grzegorz Piąty doskonale wiedzieli, że owej nocy, pełnej łoskotu ciskanych kamieni i śwedu dopalających się pochodni. Krescencjusz, jeżeli i leżał przy boku Teodory Stefania, wcale nie został przez tłum zaskoczony i niby gwałtem wyniesiony wysoko ponad miasto. Z wprawą i spokojem doskonałego, nieomylnego mistrza snuł starannie sieć pajęczą dookoła papieża, zimno czelując, niby wiersze, żywiołowe odruchy, wszystkie nagie wybuchy wściekłości, każdy spazmatyczny krzyk, każdą miarkę, której sprowokowany przelew miaz stać się miarką oliwy, do ognia dolanej...

A przecież i doskonale mistrz popełnia błędy. Zawiedli Krescencjusza zaufani a wiarygodni, tylokrotnie wypróbowani informatorzy. Trzy zimny miał być przyskuty Otto do Elby, a oto już w styczniu pierwszy przychodzi brat odwet za wrzesień. Wionęło niepokojem na Kapitolu, — toż samo w zameczku koło kolumny. Kudłaci, zielonoccy, czerwonołoccy Tuskulańczycy coraz częściej w zamyśleniu spoglądali w stronę rodzimych wzgórz — czy już nie czas było wtoczyć puste beczki gdzieś bliżej macierzystych winnic? Tam, na górze, można długi czas trzymać się przeciw równinnym saksońskim dzikom... Oczywiście, jeśli ktoś miejscowy nie pokaże okólnych ścieżek.

Pokaże je Tymoteusz. Cesarz znów zanurza się w przepychu wielobarwnych poduszek i spokojnym, władczym tonem, w którym znów wibruje gardłowa melodyjność głosu Greczynki Teofano, — zapewnia papieża, że jeśli chodzi o Tuskulańczyka, wszystko, czego umiłowany brat i najświętszy ojciec życzy sobie, w pełni zostanie wykonane. Jak to dobrze, że ojciec Tymoteusza nie żyje... Bo gdyby nie zmarł, zapewne tak samo, jak bracia, stanąłby przy Krescencjuszu i trzeba by było powiesić go tak samo, jak powiesimy tamtych, tuskulańskich... A zrobilibyśmy tym przecież napewno przykrość Twemu ulubieńcowi, który, mimo że ojciec zapewne waliłby go tak samo jak stryjowie po zębach i po oczach, bardzoby chyba rzewnie opłakiwał

widok ojca, kotyszącego się z wysuniętym językiem...

Gdy w kilka miesięcy później, już w Rzymie, opat Leon z polecenia Grzegorza Piątego wtajemniczał Bolesława Lamberta i Tymoteusza Tuskulańczyka w szczegóły owej nocnej rozmowy między cesarzem a panem Papieżem, obaj odrazu spostrzegli, że o ile opat obszerne, i to bodajże bardzo chętnie rozwodził się nad sprawą dziedzictwa tuskulańskiego i nawet nad tym, co miało spotkać, a co spotkało Teodorę Stefanię, — o tyle zwięźle i sucho potraktował sprawę Bolesława Lamberta. Została rozstrzygnięta przez cesarza odrazu: powiedział „Nie”. „Pan okręgu ziemskiego usłyszał: „nie?” — wtrącił Tymoteusz między słowa Leona pytanie, którego należałoby raczej się spodziewać od zainteresowanego, a więc od Bolesława Lamberta. Pytanie to zostało rzucone tonem, pełnym prostoty, ba, można by powiedzieć, — pełnym prostactwa, a przecież brzmiało w nim coś takiego, co sprawiło, iż Bolesław Lambert, przelakł się o przyjaciela, a nawet o siebie struchlał i odruchowo zjeżył się na krześle. „Zaraz go uderzy!” Ale Leon nie uderzył, nie podniósł nawet ręki, spojrział tylko w oczy Tymoteuszowi, jakos tak dziwnie, że Bolesławowi Lambertowi iza stanęły w oczach i coś go jakby za gardło chwyciło... Ileż razy w życiu potem stawało mu przed oczyma to dziwne spojrzenie opata Leona, szermierza nieugiętego w walce o prawo mocy dla godności, po którą nawet sam dla siebie nawet w myśli nigdy nie sięgnął!

Otto Trzeci uzasadnił swoje „Nie” i to nawet wedle opinii papieża, niestety, przekonując. Grzegorz Piąty zażądał, aby wojska saskie, a w razie potrzeby i bawarskie, zaraz po zdobyciu ponownym Rzymu, ruszyły na wschód nad Odrę, wprowadzając Bolesława Lamberta z braćmi i matką na księstwo, wydatę im przez brata przyrodniego, margrafa i grafa Słowian. Może zresztą obejdzie się i bez wyprawy wojennej: ów margraf i graf jako lennik królestwa niemieckiego powinien usłuchać rozkazu królewskiego bez sprzeciwu... Niech więc Otto, król i cesarz, wyda taki rozkaz... Przecież Otto wie, że graf i margraf Bolesław bezprawnie wyżył z dziedzictwa ojcowskiego macochę i przyrodnich braci... że w imieniu niezimym innym, jak właśnie jego, Ottonowym, babka jego, najdostojniejsza cesarzowa Adelaida, przyrzekała poprzedniemu grafiowi i margradowi Słowian, że zatroszczy się o spełnienie jego woli ojcowskiej w całej pełni, czuwając, by wyposażony w grody Poznań i Kraków pierwotny Bolesław nie sięgnął łapczywie także i po dzielnicę braci... Zresztą, jak to tłumaczył Grzegorz Ottonowi — papieżowi dobrze wiadomo, a zapewne i cesarzowi nie tajno, że graf i margraf Niedźwiedź, dzieląc część swych ziem właśnie z gromadami Poznań i Kraków wspomnianemu pierwotnemu Bolesławowi, — resztę obszernej swych włości, wiedziony najchwałobniejszą pobożnością i troską o zbawienie tonących w pogaństwie swych poddanych, zapisał w darze Świętemu Piotrowi. Dar ten niezimym różnił się od daru Konstantyna, który również chwalebna pobożność kierowny, ofiarował Włodanowi Apostołów Rzym i Rawennę. Poprzedni zaś papież, w którego ręce złożył graf i margraf Niedźwiedź ów hojny dar czystego, świeżo nawróconego serca, przyrzekł, również jak najdostojniejsza cesarzowa Adelaida, czuwać nad tym, by z rąk najświętszych Piotra, jako lenno apostołskie, ziemie te wzięli w posiadanie jedynie synowie Niedźwiedzia z drugiego małżeństwa...

Coprawda, gdyby zapytano opata Leona, co mu się wydaje godniejsze zachodu — dziedzictwo Tymoteusza, czy Bolesława Lamberta, — odpowiedziałby, że dobra świata dla niego oświadczenie nie istnieją, każdemu innemu przecież — takiemu, co nie dorosł jeszcze do upajania się rozkoszami ducha — oczywiście życzyłoby raczej władania nad winnicami tuskulańskimi, niż nad odległymi, pełnym dzikich ostępów, dzikich zwierząt i dzikich ludzi księstwem, i to choćby nawet prawdą było, co opowiadają, że większe jest od królestwa Italii, a bodaj Saksonii i Frankonii Wschodniej razem...

Gdyby cesarz Otto odrazu rzucił swe „nie”, napewno doszłoby do ostrego starcia: papieżby zaczął mu przypominać o pierwszym obowiązku imperatora rzymskiego, który przecież w kościele świętego Piotra z rąk namiestnika Piotrowego koronę bierze: o obowiązku chronienia praw sakralnych i praw lennych Stolicy Apostolskiej. Cesarzby na to zapewne odpowiedział, jak to już się zdarzyło w czasie jednego z licznych sporów o Gerberta, — że prawa sakralne owszem, ale lennych praw żadnych, gdyż darowizna Konstantyna to wymysł... że każdym spłachciem ziemi w całym świecie chrześcijańskim — tym, który jest chrześcijański, również jak tym, który ma być chrześcijański — rozrządza z ramienia Wiecznej Świętej Miłej Bogu Romy pierwszy jej sługa, pierwszy żołnierz, pierwszy senator i pierwszy rolnik, Pan Cesarz — oddajcie więc co cesarskiego cesarzowi... Do starcia nie doszło, bo Otto przestał nagle mruczeć oczy i śmiejąc się wesoło, a przecież złośliwie, trochę jak chłopiec, szykujący psotę niebolesną, ale dotkliwą, zawołał bębniąc palcami obu rąk o rzeźbione poręcze krzesła: — Ojciec Najświętszy, bracie umiłowany... Przecie Ty i ja, Twoja Święta Dostojność i moja cesarska Władza, powinniśmy po prostaku, po barbarzyńsku głęboko w nogi się pokłonić temu pierworo-

nemu Bolesławowi, którego każesz mi z Sasami, a może z Bawarami z powrotem do Krakowa wyrzucać. Przecież, gdyby nie jego drugą, którą przyrzekł mi rzucić w pomoc biskupowi Ramwardowi mindeńskiemu, nie byłbym dziś tutaj. — tak napierają znów na nasze marchie poganie słowiańskie...

Kto z margrafów i grafov najpewniejszą jest tarczą grodów saskich za Elbą? — Bolesław. Kto najgorliwiej pali przebrzydłe świątynie pogańskie? — Bolesław. Kto książątka lutyckie na pal najgęściej wsadza? — Bolesław. Kto Bolilu przycisnął, aby w Brandenburgu cicho siedział? — Bolesław. Kto sprawił, że wojskiem, które przyszło tu ratować Twoją Świętą Dostojność, dowodził wódz tej miary co Ekkehard? — Bolesław. Bo Ekkehard z Dedim w usta się całuje, a przecież dlatego się ruszył, że Bolesław, wynagrawszy Ode z chłopakami, już całej rodziny Ody i Dediego dopilnuje, by nad Elbą nie brykali zbytnio... Miśnia w ręku Ekkeharda pewna tak długo tylko, póki jakiś siostrzeniec Dediego nie przyjdzie z drużyną od Poznania... A ty chcesz, bracie umiłowany, abym ja właśnie dla siostrzeńców Dediego zadziałał z Bolesławem... Przecież niech rozejdzie się po Pawii wieść, że my cokolwiek, cokolwiek obiecujemy Twojemu Lambertowi, — jutro gotowa zwada między Ekkehardem a Dedim, pojutrze zaś Ekkehard powie mi: — Bywaj zdrów, królu! Chcesz wiernego wasala porazić z tyłu, pozwól, że wasal odejdzie, łamiąc na kolanie włócznię, którąś mu wręczył jako znak wierności — wzajemnej wierności... Zresztą, dosyć. Bolesław Lambert jest najwierniejszy Panu Papieżowi, i Pan Papież chce jemu być równie wierny, nieprawdaż? Ale Bolesław, Niedźwiedzia pierwotny, najwierniejszy jest Panu Cesarzowi i Pan Cesarz także chce mu być równie wierny. I będzie. Bo na ziemi. — a jesteśmy na ziemi, — Pan Cesarz jest silniejszy od Pana Papieża. Tak chciał Chrystus Pan, który Panu Cesarzowi Konstantynowi oświadczył, że Pan Papieża, nawet nie przez Świętego Piotra, Wodza Apostołów, wręczył swój znak samowładny, zwycięstwo niosący.

Gdyby Bolesław Lambert zapytał Leona, czy na tych słowach zakończyła się nocna rozmowa, opat byłby w kłopotcie: nie skłamał nigdy i wiedział, że nie skłamał.

Ale pytanie nie padło, i opat Leon z uczuciem ulgi zgasławił obydwu.

Uważał, że powiedział im za dużo, jak na stan ich umysłów. — za dużo nawet bez tego, czego nie powiedział. Oczywiście teraz też, nie skłamał. Padnie do nóg papieżowi i poprosi pokornie, by go ukarał jak najsurowiej... Bo zawinił bez miary: nie wykonał, drużynnik niewierny, rozkazu Pana okręgu ziemskiego... Ale ponad jego siły było powtórzyć młodzieńcom tę część rozmowy, która dotyczyła Gerberta.

O Gerbercie, przybyłym do Pawii w orszaku Ottona. Grzegorz Piąty przez cały dzień nie rzekł ani słowa. Nie zauważył jego istnienia. Zdawało się, że nie umie odczytać jego nazwiska na liście członków dworu, wręconej przez Hildebalda, kanclerza królestwa Niemiec, Herybertowi, kanclerzowi królestwa Italii. Zdawało się, że nie widzieć go przy stole biesiadnym. Ani nie słyszeć jego muzyki. Gdy Willigiz zapytał, ile prawdy jest w tym, że żądając od króla Franków Zachodnich, Roberta, odprawienia żony, papież równocześnie godzi się na powrót Gerberta do Rheims, — Grzegorz Piąty nie odpowiadał, jak gdyby nie dosłyszał pytania. I oto zaraz po stwierdzeniu, że nie robi niczego, aby pomóc Bolesławowi Lambertowi przeciw Bolesławowi pierwotnemu, — Otto Trzeci tym samym tonem, jakim mówił o Konstantynie, z rąk Chrystusa przyjmującym swatowiadny, zwycięstwa niosący znak krzyża, powiedział: „Musimy pomówić o Gerbercie”.

A gdy papież nie odpowiadał, Otto, sięgając po srebrny kubek z winem, postawiony przez kapłana Rakkona na okrągłym stolczku, dodał:

— Oto cena, jaką mi zapłacisz. —

— Za co mam płacić? Za powtórne wprowadzenie do Rzymu?

— Nie, o cenie za tamto pomówimy, gdy Krescencjusz już nie będzie miał głowy. Ja mówię o cenie wprowadzenia Bolesława Lamberta do... do...

— Do Gniezna?

— Tak, do Gniezna. Jaka dziwna nazwa, prawda? Gniezno...

— Więc mimo wszystko co powiedziałeś?

— Mimo wszystko co powiedziałem, gotowem spróbować, choć to bardzo, bardzo trudno, zdradzić ze swym najwierniejszym Bolesławem... Jeśli Sasi i Bawarowie nie wystarczą, rzucimy na niego przez Kijów Greków... Z Bazyliem tak czy inaczej trzeba zawrzeć ugodę.

Papież zerwał się z miejsca.

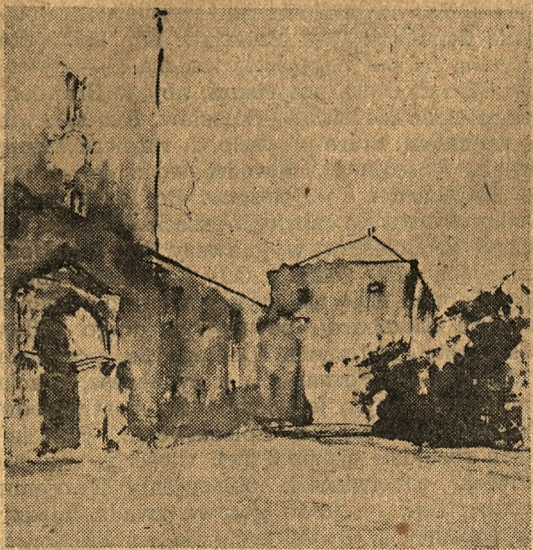
— Prawdę mówisz? nie kpisz?

— Nie kpię, tylko żartuję. Bolesław nie jest dziś ani tak silny, by trzeba było przeciw niemu aż Greków. Wystarczyliby sami Sasi, tylko w zgodnej gromadzie. A Ekkehard — mówiłem już — przeciw niemu niechętnie pójdzie, może wcale, tym więcej, że to o sprawie wnuków Dytryka... Ale powiadam: spróbuję, spróbuję. Za samą przecież próbę, nie za wykonanie, zapłać mi: wprowadź z powrotem Gerberta na stolicę arcybiskupią w Rheims. Pozwolisz, że przejdę na łacinę? Jakos tym dzikim niemieckim żadnej poważniejszej myśli wyrazić nie można...

*) Fragment powieści p.t. „Srebrne orły”.

NOAKOWSKI

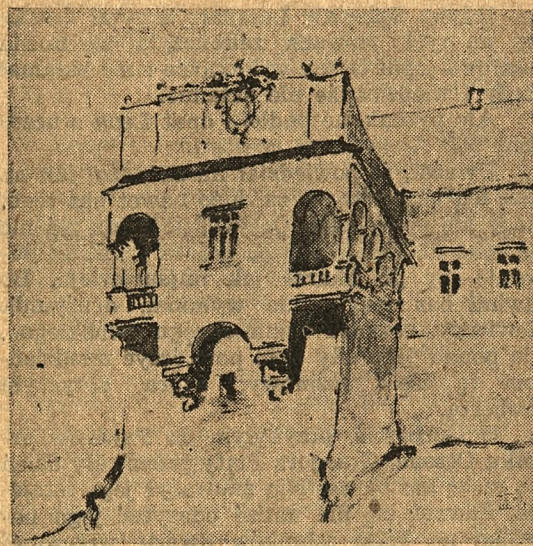
Stanisław Noakowski, urodzony w r. 1867 w Niezawie na Kujawach spędził dzieciństwo w „dworcu słomą krytym“, a szkolne lata w Łowiczu i Włocławku. Przeszło trzydzieści lat przebywa Noakowski w Moskwie i Petersburgu, najpierw jako student, potem jako profesor. Po wielu latach pracy nad sobą i studiów przygotowawczych, odkrywa rodzaj twórczości, w której jest niedościgniony: fantazje architektoniczne. Rysuje widzenia nieistniejących budynków — ale oglądając je, wydaje nam się, żeśmy je sami widzieli.



Zamek polski z XVII w.

W pierwszych latach swej twórczości opracowuje Noakowski przeważnie motywy rosyjskie, pociągający ich odrębnością od architektury zachodniej, polskiej, wśród której wyrósł. Powstają bazyliki, kopuły, bajecznie kolorowe, cerkwie drewniane, wsie zapadłe, zaśnieżone miasteczka — a obok tego cykle rysunków z rosyjskiego empiru z jego rozmachem i splendorem.

Ale stopniowo, z tęsknotą za Ojczyzną i za krajem lat dziecińczych wyrastają cykle rysunków o Polsce. Zaścianki, krzyże przydrożne, kościoły, ruiny zamków, kapliczki, cmentarzyska, kamienne renesansowe, pałacyki rokokowe, gotyk i barok. Ściągał jeszcze głębiej i odszukał nierozdzielny związek z przeszłością Polski, z warownią pia-



Wyskusz z XVI w.

stowską, z gontyną pogańską. Zaklął w swych rysunkach ducha każdej z epok, które malował, i ducha architektury polskiej, związanej z ziemią i kulturą, na której wyrosła. Nie były to martwe schematy z podręczników architektonicznych — rysunki Noakowskiego tchnęły życiem, miały czar swoisty i nastrój. Umiał on pochwycić narastanie stylów: w mrocznej nawie gotyckiej — iskrzący się ołtarz barokowy, cięła wieża romańska z barokowym hełmem, rokokowy portalik w renesansowym budynku. Trudno wszystko wyliczyć, a jeszcze trudniej opisać te olbrzymie spuścizny, jaką nam zostawił.

Noakowski był impresjonistą czystej wody: w podejściu do tematu, w formie wypowiedzianego i w kolorze. W pierwszym, przygotowawczym jakoby, przedimpresjonistycznym okresie, kiedy rysunki jego są aż przeładowane masą szczegółów,

Noakowski posługuje się całą skalą, osiągalną w akwareli. Później na długie lata odchodzi całkowicie od barwy. Maluje tuszem, sepią lub sieną, piórem i pędzlem, palcem i bibułą. Pamiętam raz, któryś ze studentów zapytał go, jak też profesor osiąga tę drgającą powietrzem i światłem dal — i to niebo, na którym zdaje się, że wiatr chmurki rozgania.

— A to, widzi pan — robię taką dużą plamę, farby mało, ale zato wody dużo, trochę daje przeschnąć, a potem to wybieram bibułę co, niepotrzebne.

W ostatnich latach życia Noakowskiego, znów barwa powraca do jego wizji, z początku ostrożnie, czerwienią tylko wybiłszy z sieni, potem pojawia się cała gama złota i czerwieni, a wreszcie, jako akord zamykający — plama zieleni, kontrastująca

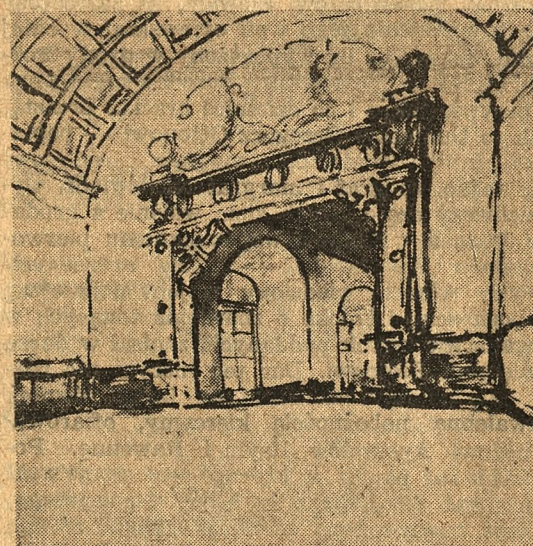


Dzwonnica rokokowa

z ciepłą tonacją — jakąś kopułka zaśnieżona, czy mech na dachu pochylony, lub kępa trawy, wyrastająca z muru.

W roku 1918 realizuje się marzenie Noakowskiego: wraca do Polski, aby nauczać polską młodzię. Zostaje profesorem historii sztuki na Wydziale Architektury w Akademii Sztuk Pięknych. Zostaje dziekanem wydziału Więcej — jego dusza i sercem.

Na wykładach więcej rysował, niż mówił. Choć słowa jego były tak samo proste, jasne i nieomyłne jak rysunki. Był wielostronny w swoich upodobaniach: kochał Bizancjum, odczuwał piękno Alhambry, elegancję Wersalu i rozmach włoskiego baroku. Tylko czasem, chcąc powiedzieć, że coś



Na Zamku Królewskim (w. XVII)

jest ciężkie lub bez smaku, mówił: „A to jest takie niemieckie“. I czasem, mówiąc o architekturze niemieckiej, dodawał: „Oni przecież zburzyli katedrę w Reims, a to nie przypadek“.

(Nie dożył Noakowski drugiej wojny światowej, nie widział zniszczenia Warszawy i zabytków, które tak kochał. Umarł w roku 1928, opłakiwany przez młodzież, która go kochała jako człowieka o wielkim sercu, wielkiego artystę i nauczyciela, który otworzył jej oczy na piękno architektury. ik.

EWA MIEROSZEWSKA

Malta pozostała niezwykła

Dziesiątki tysięcy nazw obejmuje geografia. Z tej powodzi nazw w okresach wielkich zdarzeń dziejowych, wojen czy rewolucji — wypływają coraz to nowe. by wkroczyć do historii i wiązać się już na zawsze z wypadkami, których były świadkami. Każdy je już zapamiętał — przestały już być suchą nazwą geograficzną — stały się symbolem, nabrzmiałym od treści.

Obecna wojna wyrzuciła takich nazw wiele: Hel, Westerplatte, Warszawa, Narvik czy Tobruk pozostały bliskie i znajome nie tylko dla polskiego ucha, podobnie jak my zapamiętamy brzemienne w treść nazwy, jak Dunkierka czy Coventry, El Alamein czy Pearl Harbour.

Wśród tych punktów na mapie, wśród tych nazw, które po tej wojnie zajmą miejsce nie tylko w geografii, ale i w historii — znalazła się Malta.

Cóżemy przed wojną wiedzieli o tej małej wyspie? Każdy słyszał coś o kawalerach maltańskich, bardziej obeznani z historią wiedzieli, że wyspa ta wiele kłopotu sprawiała niegdyś Turkom, którzy daremnie przez 4 miesiące oblegali twierdzę La Valette, spod której murów cofnąc się w końcu musieli aż pod Konstantynopol, rezygnując z dalszego pochodu na Europę. Snobistyczni miłośnicy rasowych psów wiedzieli też, że istnieje specjalna rasa „jedwabistych maltańskich pinzerów“. I na tym koniec.

Dziś Malta dla niczyjego ucha nie jest obco brzmiącą nazwą geograficzną. Ta mała, przeludniona (270.000 mieszkańców na 120 mil kwadratów), skalista wyspa — rzucana na morzu Śródziemnym między Sycylią a wybrzeżem Afryki Północnej jak kamień przez strumyk, mający ułatwić przekroczenie go suchą nogą — powtórzyła w czasie obecnej wojny swą bohaterską epopeję z czasów najazdu tureckiego. Bombardowana dniem i nocą do 11-go czerwca 1940 aż po maj 1943 — osaczona przez łodzie podwodne i samoloty Osi, odcinająca ją od dostaw i zaopatrzenia — wytrwała z żelaznym uporem i nieugiętą odwagą i pozostawała niezdobyta, nietknięta stopa najeźdźcy.

Inaczej wyobrażał to sobie signor Mussolini, gdy w chwili przystąpienia Włoch do wojny, rozkazał swemu lotnictwu zlikwidować ten bastion brytyjski, tak dogodnie pod butem włoskim umieszczony. Przypuszczał, że wystarczy kilka nalotów bombowych, aby ludność tego jednego z najgłębszych w Europie zamieszkałych zakątków zaczęła burzyć się i demonstrować za pokój i poddaniem wyspy. Do pomocy miała propaganda włoska, która przez radio tłumaczyła wymownie Maltańczykom, że życie jest piękne i że zamiast ginąć pod bombami pobratymców Włochów, powinni zrzucić jarzmo brytyjskie i otworzyć Osi ramiona.

Pomylił się w swych rachubach Mussolini. Naprawdę płynęły potoki wymownych perswazji i tentujących obietnic z głośników radiowych. Lojalny i wierny Anglii lud maltański wytrwał u jej boku, pomagając brytyjskiej załodze bronić tej bezcennej bazy, jaką dla lotnictwa i marynarki Sprzymierzonych była ich ojczysta wyspa.

Dlaczego taką była postawa Maltańczyków? Dlaczego nie stracili ducha, widząc swe piękne kościoły i pałace walące się w gruzy? Dlaczego nie ugięli się, patrząc na swe zburzone domy i na zmasakrowane ciała swych kobiet i dzieci? — Na to odpowiedź dać nam może chyba dół krzyż św. Jerzego, z napisem „For Gallantry“, który nosić dziś ma prawo każdy mieszkaniec Malty.

My, którzy wdziliśmy własny kraj zniszczony przez lotnictwo wroga, ocenimy najlepiej wymowę pewnych cyfr. Owego 11-go czerwca 1940 roku Malta przeżyła w ciągu doby 8 nalotów włoskich. Od tej daty powtarzały się one codziennie — miesiącami — latami — osiągnęła przeciętną 103 nalotów

miesięcznie. Ale od stycznia 1941 roku, gdy na pomoc włoskim piratom przyszedł zbrodniarz z Luftwaffe, przeciętna podniosła się do 261 nalotów miesięcznie. Bywały dnie, gdy 17 razy na dobę odzywały się nad Malta przyciągły jęk syren alarmowych. Zdarzały się alarmy, trwające bez przerwy przez 13 i pół godzin. Przeciętnie 21 godzin na dobę Maltańczycy musieli spędzać w schroniach.

Uratowali ich właśnie te schrony. Skaliste podziemne chodniki, grobowce i katakumby stały się mieszkaniami Maltańczyków. Nie mogły one pomieścić całej ludności wyspy. W miękkim piaskowcu zaczęto więc żłobić nowe pieczary i chodniki. Gruzami zasłane miasta wyludniły się, ludność poczęła wieść żywot mrówek, czy kretów. Maltańczycy są ludem pogodnym i spokojnym. Kochają życie. Nie chcieli biernie ginąć pod bombami wroga; pragnęli wytrwać i przeżyć na ziłosc znielowym „Maccu“, jak pogardliwie nazywają Włochów. A nienawidzą ich rzetelnie. Bardziej niż Niemców, pomimo że właśnie niemieckie naloty największe szkody wyrządziły wyspie, najcięższe straty spowodowały wśród ludności. Do nienawiści dołączyła się pogarda, jaką obarczyli Włochów za to, że byli zbyt słabi i tchórliwi, by dać sobie z Malta radę sami, i obcych wezwali na pomoc. Odtąd za dyshonor uchodziło na Malcie zginąć od włoskiej bomby.

Dziwni to ludzie, ci Maltańczycy. W tym piekle, jakim stało się ich życie, nie stracili nie tylko ducha, ale nawet humoru i uśmiechu. Z czasem przyzwyczaili się do bombardowań — przestali się niemal bać. Najgorętsze chwile nalotów spędzali w swoich podziemiach na modlitwie wspólnej i śpiewaniu pobożnych pieśni. Głęboka wiara nie opuszczała ich ani na chwilę i w dużym stopniu przyczyniła się do ich bohaterskiej i zarazem stoickiej postawy. Wierzyli, naprzekór wypadkom, w ostateczny triumf sprawiedliwości.

Gdy wojna się rozpoczęła, władze miejscowe przygotowały szczegółowy plan ewakuacji ludności najgłębszej zamieszkałych miast do bezpieczniejszych okolic. Ale Maltańczycy są konserwatywni i nie lubią, gdy się decyduje za nich. Postanowili więc pozostać w swych miastach. Ale gdy w czerwcu 1940 rozpoczęły się bombardowania włoskie, uznali, „carozzi“, z zieleniarzy i krawców, rekrutów bez paniki, wywakuowali się sami. Gdy naloty stały, wracali od czasu do czasu do swych siedzib, ale gdy z wiosną 1941 roku wyspę nawiedzały zaczęły samoloty Luftwaffe, nie mieli już do czego powracać: strasne, pnące się w górę uliczki La Valette czy Vittorio wyglądały jak skaliste łożyska wyschniętych rzek. Walące się domy, budowane w całości z kamienia, kamienną lawiną spadały w dół uliczek. Piękne, pełne zabytkowych budowli miasta Malty wyglądały dziś jak wymarte, kamienne cmentarzyska, po których krążyły tylko beznamiętne koty i przemoknięte wśród gruzów zwłone, zielone jaszczurki.

W okolicach miast rozciągają się uprawne pola, winnice, gaje pomarańczowe, brzoskwińowe sady i plantacje bananów. Każdy skrawek ziemi, wydarty skale, uprawiany jest starannie. Wśród pól rozsiane są stare farmy, często obronne chronione wysokimi wieżami, z których strażnicy wypatrywali niegdyś śródziemnomorskich piratów, chętnie odwiedzających wyspę w poszukiwaniu łupów. Nowocześni piraci dosięgli i tych cichych, wiejskich zakątków: wiele starych ferm leży dziś w gruzach, a mieszkańcy ich albo zginęli, albo chronią się dziś w starych grobach fenickich.

Mieszkańcy Malty dali dowód dyscypliny i odwagi nie tylko w obronie biernej. Z ich to szeregów, z wesołych i beztroskich chłopaków wiejskich, woźniców starożytności, „carozzi“, z jarzyniarzy i krawców, rekrutowali się wspaniali artylerzyści w mundurach khaki, którzy ze swych przeciwników działali tyle samolotów Osi spuścili w morze. Historia „Royal Malta Artillery“, pułku „King's Own Malta Regiment“, oraz maltańskiego „Home Guard“ świadczy nie tylko o wielkiej odwadze, ale i wysokiej wojskowej sprawności Maltańczyków.

W dziejach ostatnich trzech lat na Malcie trafiały się epizody godne najpiękniejszych tradycji tej wyspy, władanej niegdyś przez rycerski zakon Joanitów. Choćby wymienić moment zaprzysiężenia nowego gubernatora wyspy, lorda, dziś marszałka, Gorta, który przypadł w czasie bombowego nalotu. Nie przetrwano czystości, gdy nad historycznym pałacem zawarczały złowrogo silniki bombowców. Nie przetrwano jej nawet wtedy, gdy jedna z bomb przebiła strop sali i eksplodowała, raniąc odłamkiem w rękę lorda Gorta, w chwili gdy kładł swój podpis na dokumencie przejęcia rządów na wyspie. Krew trysnęła na pergamin, a plamy jej widnieć będą obok podpisu lorda Gorta — świadcząc przyszłym wiekom o bezprzykładnej odwadze i cierpliwości Malty.

Malta doczekała się wyzwolenia. Zlikwidowanie władania Osi w Afryce Północnej, uwolnienie nieba nad morzem Śródziemnym od bezkarnego rozbójnictwa powietrznych piratów — dały Malcie upragnione odetchnienie i uwolniły ją od strasliwej grozy, która przez trzy lata ciążyła nad wyspą. Mogą dziś nadal uprawiać spokojnie swą rolę i pożywać codzienny chleb, którego im często brakowało, modlić się w swych zburzonych kościołach i śpiewać swoje piękne, słoneczne pieśni.

zb.

„Płynie piosenka“ w Jerolimie

Występ Teatru Polowego

Co nam pokazano? Jak gdyby muzeum wojskowe rewii z okresu zawieszenia broni po pierwszej wojnie światowej. Panopceum przedstawień rewiowych z kina przedmieścia, gdzie nieodzownie w akcji na scenie interweniuje zaperzony je-gomość z widowni, przy rozszalałym wyciu i gwizdach galerii. Tak jak nie jestem zwolennikiem cierpiennej okliwosci, czy też gromkich wykrzykników patriotycznych, tak jak nie znam w tej chwili ze szczegółami nastrojów życia woj-skowego na pustyni, wydaje mi się, że inauguracja żołnierskiego widowiska tematem „Trójkąt małżeński“ nie jest szczęśliwym pomysłem. Dalej mamy blachą satyrkę „Egzamin szoferski“ z uroczą grą słów, związana z fizjologicznymi właściwościami organizmu ludzkiego, by wkrótce powrócić do retrospektywnego przeglądu, w niezamierzony karykaturze, tych rzeczy, którymi bawiono się przed 20 laty.

Do tej właśnie kategorii należą dwa czołowe numery programu: „Argentyna“ i „Sąd nad piosenką“. „Argentyna“ poprzedza zapowiedź, w oś-stochowskich rytmach uspokajająca widownię, iż będzie to raczej Argentyna z Kolomyl. Racja jest bezsporna, mimo to trzeba się raczej zdziwić tak daleko posuniętym samopokajaniem.

Piosenki świadczą o wyraźnym braku autorów i kompozytorów. Są szare i nudne, nie mają szlachetnego uczucia i przykro jest słuchać, jak słowo „Wilno“ nie potrafi dać autorowi odpowiedniego impulsu. Reżyser widowiska, prawdopodobnie wyczuwając słabość tekstów, usiłował ratować sytuację, wprowadzając liczne utwory, zawsze miłe, tym nie mniej znane już na pamięć z poprzednich przyjazdów tego samego teatru. Tendencja zresztą nieodłączna, — każda z czołówek wojskowych, nieczem Teatr Narodowy, dąży do stworzenia żelaznego repertuaru, który powtarza od dwóch lat.

Tym razem zawołada również i tańce; Pruszyńska nie powinna jeszcze tańczyć numerów solowych. Może najbliższym żołnierskiej widowni byłby Bielawski, dający typ lwowskiego chłopaka, Bielawski, tylekroć krytykowany, ale na tle obecnej serii nieporozumień teatralnych mający przynajmniej tekst szczerzy w swej nieliterackiej prostocie. I on jednak nie jest bez grzechu, powtarzając piosenkę o „Czarnej wdowie“ w każdym widowisku.

To właśnie powtarzanie, ten chaos pomysłów, to odgrzewanie przebrzmiałych dowcipów, szukanie rewiowego efektu, gdzie nie mogą podo-

jąć środki techniczne, brak jakiegokolwiek linii wychowawczej, propagandowej, nie mówiąc już o artystycznej, świadczy, że teatr polowy jest dziełem przypadku i żyje z przypadku.

Wniosek zatem jest prosty i nieodparty: nieumiejętna gospodarka materiałem ludzkim. Nie ma teatru bez odpowiedniej atmosfery artystycznej, nie ma dobrej rewii bez zorganizowanej grupy autorów, ściśle związanej z teatrem.

Spotykalem się z argumentem, że ten właśnie teatr, ten pełen taniej tandety program, podobna się żołnierzom. Argument najniebezpieczniejszy, bo demaskujący istotne oblicze teatru. Nic dziwnego, że szeregowiec, który pochodzi z biednej wsi polskiej, który przeżył ciężkie lata w obozie pracy przymusowej, który pełni dziś służbę na głuchej pustyni, będzie wdzięczny nieomal za każdą rozrywkę, za wszelkie widowisko. Jak jednak można, jak wolno wykorzystywać tę nieświadomość prostego człowieka dla podawania mu rzeczy makabrościowych, szkodliwych, pacychych smak, wyrażających gust do międzynarodowej tandety?

Zbyt wiele pokrewnego ma ten stosunek do masy żołnierskiej z lapidarnym ujęciem sprawy: „Jedź, głupi, bo to dobre!“ Istotnie; po głodzie wszystko może smakować, ale tylko w pierwszej chwili.

DYLIŻANS WOJENNY

Maria Kuncewiczowa. „Klucze”. Londyn, 1943. Nakładem „Nowej Polski”, Str. 217.

Po rozproszeniu polskim, po zawierusze francuskiej, z jakąż niecierpliwością oczekiwało się książek polskich z Londynu! Co też powiedzą nam oni, — ci którzy widzieli najwięcej, którzy przebyli drogę od Warszawy do granicy, od granicy do Francji, by wreszcie, gdy nad oceanem skończył się ład francuski, przenieść Ojczyznę i walizy na okręt płynący do Anglii? Jakże dadzą nam klucze do tylu zagadek, tylu niepewności, drzwiczek zatrzasniętych przedni wtajemniczonymi? Co zobaczą, porwani nagle w „podróż w nieznane”, czy w swej drodze, przepłatanej wojnami, odkryli gdzieś sekret, sejmiczne centrum zamętu, wstrząsające świat? Przypadkowe nasze „oczy i uszy” w Paryżu i Londynie, mimowolnie „specjalni wysłannicy” dźmini są nam reportaż z przekraczanych granic. Byli przecież świadkami walki państwa, które chciało obronić granice, nie broniąc honoru; w blaskach lotniczego bliznu oglądali walkę narodu, który postanowił bronić jedno i drugie, a nadto mieli w pamięci wojnę, którą podjęto, by ocalić honor, gdy nie można było ocalić granic.

Najpierw przybyły wiersze. Ale wiersze z Paryża zwracały się do Kraju, wołały go „głosem nabrzmiałym łzami” — przez „radio Paryż, radio Toulouse”, wypatrywały śniegu nad Sekwaną, by im zasłonił Francję, a pozwolił wciąż patrzeć w Warszawę, Wilno, Lwów...

Nie mówią o Francuzach, o prawdziwej czerwiecu 1940 r., nie odsłaniały prawdy września 1939 r. Pierwsze polskie pisane świadectwa wojny, broszurki „Luna nad Warszawą”, „Z generałem Sosnowskim” — były za kordonami czytane do zupełnego starcia papieru, do rozsypania się w proch. A gdy skruszały kartki, zaczynał się w grubym brulionie przezornie zrobiony odpis. Taki był głód przyjrzenia się jeszcze raz temu, cośmy przeżyli.

Dlaczego? Ażby sprawdzić. Ażby przekonać się, czy istotnie tylko tak mogliśmy postępować, tylko takie mogły być nasze reakcje. Czy niemożliwa była skuteczna obrona Polski, niemożliwa obrona Francji? Potoczne wyjaśnienia o naszej niezmotywowanej armii, o Francji bez lotnictwa, o linii Maginota, która nie dała podstaw obrony, a zalała ducha ataku — nie wystarczyły do zrozumienia wielu rzeczy. Dla pojęcia, czemu tylu ludzi przyjęło wojnę z lekkomyślną nadzieją, czemu tak żałośnie i pewnie krzyczano „Idziemy na Berlin”, czemu nie było w nas przygotowania na tragiczną wielkość wydarzeń. Improwizatorsko odegraliśmy rolę, jaką przecież już od dawna wynikała dla nas z politycznego scenariusza.

To, że jeden mówił o Francji, obezwładnionej przez masołów i Front Ludowy, a drugi o plutokratycznym rządzie, który wołał kapitulację niż oddanie broni w ręce robotników, — nie dawało odpowiedzi na pytanie, dlaczego niechętnie patrzono w Paryżu na polskiego oficera, dlaczego przeklinano „sale guerre” i polskie pułki, walczące do ostatka na tyłach linii Maginota. Znowu felitony o Anglii, broszury o parlamentarystyce i demokracji, nie wyjaśniały jeszcze przyczyn, dla których Panteon i Louvre uległy się bombardowania, a Katedra św. Pawła i Parlament przyjęły ciosy z nieba...

Chcieliśmy więc przeniknąć poza fakty kolejnych dni, poza schemat wydarzeń, parawan oficjalności i propagandy, zajrzeć — chyba aż w serca — i zrozumieć te racje, dla których jedni bronili Warszawy i Lwowa, inni wierzyli w „sojuszniczą Rumunię”, jedni rzucali karabiny i szli na wino, inni spokojnie przyjmowali pożar Londynu i godzili się z wiecznością morza, zamykającego swe fale nad zatopionym „Hood”em.

Mimo że najdłużej bierzemy udział w wojnie, nasza literatura pamiętnikarska jest niewielka. Jak dotąd, „Wrzesień w Polsce” Łagiewnickiego, interesujący, niewielki notatnik, nie został zdysansowany. Powieści wojennej, poza raczej udratyzowanym reportażem narwiczim Pruszyńskiego — nie mamy. Ani jednego opracowania całości wojny. Ani jednego politycznego studium, łączącego strategię i psychologię, o kampanii wrześniowej. Etap polski i francuski został tylko naszkicowany przez Katelbacha w jego mechanicznie kalendarzowych zapiskach.

Na tym skąpem tle „Klucze” Kuncewiczowej są książką interesującą chociażby dlatego, że obejmują w jednym tomie szkiców z górą trzy lata wojenne. Między pierwszą, a ostatnią kartką rozpina się odległość od spojrzenia na świat w r. 1939 — aż do widoku świata, jaki rozciąga się z Anglii w r. 1943. Jak w trzech kolejnych zwierciadłach odbija się stosunek do Polski — w Polsce samej, we Francji, w Szkocji. Jak trzy znaki przeznaczenia — trzykrotnie ginie dom autorki: zmieciony przez bomby w Londynie, opuszczony we Francji, spalony w Warszawie.

Pozostały tylko bezużyteczne klucze: londyński, paryski i warszawski, od nieistniejącego już mieszkania na Placu Trzech Krzyży w Warszawie, gdzie — pamiętam, w początku roku 1933 rozmawiałem z Marią Kuncewiczową o nowej wówczas książce o Kazimierzu nad Wisłą p. t. „Dwa księżycy”.

Okna dużego pokoju-salonu patrzyły na plac i świegocące wróble na skwerze, w lewo — perspektywa Alej Ujazdowskich, w prawo — Nowego Świata, historyczna trasa Niepodległości, droga Narutowicza, zwłok Sienkiewicza i Siemakowskiego, legionistów, walczących z podchorążymi, trumny Piłsudskiego, defilady „zwartych i gotowych” przed Rydmem-Śmigłym...

Dalecy wtedy od tej myśli, jaka teraz zjawiała się w „Kluczach”, mówiliśmy o nadwiślańskim miasteczku. Zobaczyła je Kuncewiczowa w blasku dwóch księżycowych tarczy: jednej, świecącej na niebie, drugiej — w powierzchni rzeki odbitej, nierzeczywistej, a przecież prawdziwej. W „Dwóch księżycach” autorka „Miłości panieńskiej” ukazuje podwójny świat: banalność dnia, prozaiczne sceny pobielanych ścian miasteczka i przeistaczający się świat wieczorny: sprawy romantyczne i tajemnicze, powszedniość, grającą naraz pełne poezji misteria wśród ruin zamczyska, w parowach kwitnących jaśminami.

Odtąd ta właściwość pozostała w książkach Kuncewiczowej. Wainość rzeczy przenosiła się z faktów na towarzyszące im, czy raczej — objawiające się przez nie — nastroje. To też „Dyliżans warszawski” (1933), zbiór reportaży o życiu Warszawy, był właściwie szkicownikiem war-

szawskich nastrojów, przedziwnym lustrem, w którym odbijał się nieuchwytny, o przecięt istniejący duch miasta bohaterskiego i lekkomyślnego, miesającego szczerotę porwów i systematyczność snobizmu. Kiedy zaś warszawskie radio zaczęło nadawać tak popularny cykl słuchowski, „Dni powszednie państwa Kowalskich”, odnajdywało się w tym znów pełną zrozumienia uwagę Kuncewiczowej, schyloną nad powszedniością, jak nad jednostajnym, nudnym akwariem, w którym jednak oko przywykłego obserwatora dostrzeże kopie wszystkich tradycyjnych dramatów.

Warszawa zapadła się w wojnę, przeszła prawie do sfery mistyki. „Dyliżans Warszawski” ruszył w awanturyczną wyprawę, uwołąc z dawnej Warszawy klucze od drzwi, których już nie ma do czego otworzyć. Ale książki, choć spalone w bibliotece mieszkanka na Placu Trzech Krzyży, pozostały. W londyńskich „Kluczach” odnajdujemy ślady „Dwóch księżyców”, i „Dyliżansu”, i „Dni powszednich”. Założenie artystyczne nowej książki Kuncewiczowej jest ich konsekwencją. „Klucze” jeszcze bardziej starają się przenikać pozory wydarzeń, otwierając przejście do ludzkiego tajemnic: poza gestami mechanicznych lalek, gestami, narzuconymi przez społeczeństwo, utrzymywani przez tradycję, znaleźli prawdę tego, co ludzie czują. Co czuli podczas wojny: w Polsce, we Francji, w Anglii.

Zbiór wydanych w Londynie szkiców nie jest dziennikiem. Odpadł w nim czas przejazdu z Ru-

KRONIKA POLSKA

— Nakładem „Myśli Polskiej” w Londynie wyszedł z przedmową autora oraz M. E. Rojka tom poezji Jerzego Pietrkiewicza p. t. „Pokarm cierni”.

— W Detroit wyszła nakładem autora książka ks. Stanisława Targosza p. t. „Polonia katolicka w Stanach Zjednoczonych w przekroju”. Książkę poprzędził przedmową ks. biskup Stefan S. Woźnicki.

— Wydawnictwo Surrey Press, Ltd. w Mitcham opublikowało książkę Bohdana Pawłowicza „O. R. P. Garland in Convoy to Russia”.

— Wydawnictwo Dokumentów Nauki Kościoła w Londynie ogłosiło dwie broszury. Pierwsza z nich przynosi papieża Piusa XI „Encyklikę o chrześcijańskim wychowaniu młodzieży (Divini illius magistri)”, druga — papieża Piusa XII alocucję, wygłoszoną przez radio watykańskie w Wigilię Bożego Narodzenia 1942, p. t. „Podstawowe zasady ładu w państwach” oraz w Dodatku papieża Leona XIII „Encyklikę do biskupów Polaków” z dnia 19 marca 1894 r.

— Roman Umiasowski wydał w Golders Green w Middlesex we własnym nakładzie czwartą i przedostatnią zeszyt swojej „Bitwy polskiej”, obejmującej historię wojny polsko-niemieckiej w 1939 r.

— Nakładem A. R. Fostera w Londynie ukazała się książka A. T. Lutolskiego „O propagandzie”.

— Zenon P. Szczygielski wydał w Tel-Avivie tom wierszy p. t. „Bez patosu”.

— Nakładem wydawnictwa Burns Oates w Londynie wyszła książka G. M. Goddena p. t. „Murder of a Nation. German Destruction of Polish Culture (Morderstwo narodu Niemcy niszcza polską kulturę)”. Książkę poprzędził przedmowa Sir David Ross, wicekanclerz uniwersytetu w Oxfordzie. Książka poświęcona jest „pamięci siedemnastu profesorów starego Uniwersytetu Krakowskiego, zamordowanych w rezultacie nieludzkiego traktowania w hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen — Oranienburgu pod Berlinem 1939-1940”.

— Witold Majewski wydał w Londynie broszurę p. t. „Six Months in a German Prison. An Escaped Prisoners Story”. Opowiadanie Majewskiego, dedykowane lordowi Vansittartowi, drukowane było pierwotnie w „Polish fortnightly Review”.

— Nakładem Członków Stronnictwa Ludowego w Londynie wyszło Jana Ruta „Słuchowisko w 8 epizodach” p. t. „Grunwald”.

— „Składnica Księgarska” w Edynburgu ogłosiła w piątym wydaniu W. Skalskiego, profesora Akademii Handlowej w Poznaniu, „Zasady inwentaryzacji i bilansowania”.

— Bogdan Wielkopolski wydał w Edynburgu książkę „Nowe podstawy rozwoju Polski i ludzkości”.

— Kolon w Londynie wydał, wraz z nutami, popularną piosenkę wojskową Mariana Hemara „Karpacza brygada”.

— Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych w Londynie wydał drugi zeszyt piątego tomu Pomników Literatury Ojczyźnej, obejmujący analogię poezji Kasprzowicza.

— Rowmund Piłsudski wydał w Londynie w serii „Free Europe Pamphlet”, broszurę p. t. „The Baltic, Britain and Peace”.

— W Edynburgu nakładem „Biblioteki Grupy Poetyckiej „Nowa Liryka” ukazało się J. A. Rymczy „widowisko” — misterium jasełkowe w trzech aktach ze śpiewami, tańcami — baletem widm i muzyką” p. t. „Turów i upiór”.

— W Londynie ukazała się w trzecim wydaniu powieść K. Wybranowskiego „Dziedzictwo”.

— Nakładem Seminarium Polskiego w Orchard Lake ukazała się obszerna — bezmają 400 stron — monografia historyczna pióra ks. Aleksandra Syskiego p. t. „Józef Dąbrowski”.

— Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych w Londynie wydał książkę Jana Konopackiego p. t. „Demokratyczne podstawy szkolnictwa szkockiego”.

— Ognisko Polskie w Londynie urządziło dn. 19 maja b. r. staraniem Polskiego PEN-Clubu wieczór autorski poetów: Stanisława Balińskiego, Antoniego Bogusławskiego, Mariana Hemara, Aleksandra Janty, Antoniego Sionimskiego i Ireny Tuwim.

— Rada Wydziałowa Polskiego Wydziału Lekarskiego przy Uniwersytecie w Edynburgu wydała książkę informacyjną Józefa Brodzkiego „Polski Wydział Lekarski przy Uniwersytecie w Edynburgu”. Książka wydana została również i po angielsku p. t. „Polish School of Medicine at the University of Edinburgh”.

— Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych w Jerolimie wydał jako czwarty tomik Polskiej Biblioteczki Szkolnej na Bliskim Wschodzie „Odpowiedzi na pytania Greckich” Jana Kochanowskiego w opracowaniu dra Wiktora Weintrauba.

munii do Francji, zostają tylko najważniejsze charakterystyczne etapy. Migawkowe zdjęcia ludzkich reakcji, jakby podchwytliwe utrwalenie na kliszy tych momentów, kiedy się ludzie demaskują. Metoda, stosowana subtelnie i dyskretnie, daje wrażenie sylwetkowych obrazów, cieni ludzkich, które wchodzą, znikają, spełniając jakiś najważniejszy dla siebie gest. Ten nastrój odległości od opisywanych wypadków, jakiegoś błędzenia po świecie, jak we śnie, nie ujmując obserwacji ani ostrości, ani trafności, a trwa ciągle w skutecznym przepleceniu reporterskich notatek wspomnieniami Warszawy, młodości, dzieciństwa. Ubiegły, niepowrotny czas, jak spokojne, zawsze czujne widmo, towarzyszy coraz to świeższym przygodom wojny. Gdyby jednym celem książki było odtworzenie nastroju, w jakim żyje nasza emigracja na Zachodzie, oddanie owej nostalgii, zmagającej się z naporom nowego, interesującego świata, Kuncewiczowa znalazłaby pełne uzasadnienie dla tej fali wspomnień, ciągle powracającej, zalewającej i gmatwującej kompozycję książki.

Ale książka ma jeszcze intencje inne. Ma odkrywać świat reakcji cudzoziemskiego świata na Polskę. Poprzez ich analizę i poprzez określanie polskiego stosunku do lat 1939-1942 próbuje znaleźć jedyny dziś pożyteczny, aktualny klucz: do logiki świata, do przyszłości. W stosunku do tej drugiej intencji — liryczne dygresje, choć prawdziwe od strony psychologicznej wiernego oddania przeżyć, są jednak obciążeniem. Interes dla uwag Kuncewiczowej o pierwszych dniach wojny, o Francji i Anglii jest przecież większy, niż dla romantyki wspomnienia. To też kilka fragmentów brzmi nieco anachronicznie i przez swą niezgodność z duchem czasu robi wrażenie prawie pretensjonalne.

Mimo to drobne obrazy, rozdziały, układają się w harmonijną całość, jak kamienie mozaiki. Jak światło łączy mozaikowe szczegóły w jedną wizję, tak tu ognia wszystko z niezwykłą maestrią utrzymany nastrój. Pod bezpośrednim wrażeniem tekstu blisko do sądu, iż to najlepsza z dotychczasowych książek pióra autorki „Cudzoziemki”. I chociaż przy chłodniejszej ocenie wrażenie słabnie, pozostaje pamięć o wysokich wartościach stylu, mającego równocześnie poetycką lapidarność i ścisłość, jak i poetycką obrazowość i swobodę.

Po raz pierwszy uderzyło mnie teraz podobieństwo stylistyczne Gojawiczyńskiej i Kuncewiczowej. To samo ostrożne podejmowanie faktu, jak drogowca i tajemniczego znaku życia, to samo pełne prawie modlitewnej trwogi zbliżanie się do życia zagadkowego i zawsze nabrzmiałego dramatem, to samo kobiece ciepło słowa — styl, w którym czuje się bicie serca. Cokolwiek da się powiedzieć o treści spotrzeżnię, zanotowanych w „Kluczach”, o pewnych przesłach kompozycyjnych, jest to książka pisana często niepospolicie głębokim, mądrym językiem, któremu może brak jeszcze ostatecznej prostoty, klasycznego piękna rytmu, i który jeszcze czasami zniechęca żęszluguje się do inteligentnego żargonu.

Najłatwiej żyć się z myślą autorki, patrząc na książkę od strony epilogu, ujętego w symboliczne sny. W snach błyszczą klucze „od domów nieistniejących, od domów niewartych istnienia, do tajemnic ludzkich”.

„Mimo, iż ze szkiców o Paryżu — tajemnica obogacenia wojny” i tylko nie ma nigdzie klucza upadku Francji, nieubiegłej żołnierzy, traktującej Polskę jak poetycki rekwizyt europejskiego życia — wyziera aż nadto wyraźnie, mimo że rozdział o Anglii są świetnym szkicem portretowym charakteru angielskiego, że rozdział „Cudza wiosna” daje tak subtelny i trafny analizę aury psychicznej, jakby obłoku oczystego powietrza, którą człowiek niesie ze sobą na obczyźnie i która wszystko czyni mu nieprzebycie odrębne i obce. Fragment, analizujący brytyjski spokój, powściągliwość, prywatność odgradzającą się od brutalności życia jest mistrzowski i wstrząsający: „I nagle cała Anglia — pisze Kuncewiczowa — odsłoniła mi się jako uroczysko, po którym duchy — śpiące za dnia w głębokościach ciał — chodzą po noc, przerażone i sobą, i ciałem. Nie wyżyła miłośń, pieśni niewypielwane, niewybuchy gniew, tajemnice, które światła dziennego nie cierpią — snuły się między drzewami, przenikały mury, płosząc sen sprawiedliwych...”

Omówienia tej książki tak bardzo kobsceją, co jej nie przeszkadza być niepospolitą, tak bardzo wyrafinowanej w swej analityczności, co jej nie przeszkadza poddawać pewnych syntez — nie można zakończyć, nie zwrócić uwagi na jej genese. Genese niepokojąca.

Rozpoczynają się „Klucze” od nawrotu autorki do pamiętnika z marca 1939 r. Upadek Pragi jest wstrząsem. Budzi podejrzenia, refleksje i prowadzi do wniosku: „Nie zauważyłam prawie nic z tego, czym był świat podziwisty w dojrzałym latach mego życia”. I stąd chęć, jak gdyby eksplanacyjna, dostrzeżenia owego podziwiania teraz. Tamto jednak wyznaczenie jest zastanawiające u pisarki tak znacznej rangi, tym bardziej że dalsze strony zdają się potwierdzać słuszność owej autodiagnozy. Obraz wojny przeciwstawia Kuncewiczowa Polsce z r. 1939, gdzie żyło się — w jej ocenie — beztroško i tradycyjnie. Autorka tylu przenikliwych obserwacji zdaje się nie dostrzegać zarodzi klęski, jaka u nas dojrzała w dusznym powietrzu. Pisarka, obdarzona taką zdolnością widzenia tajemnic i duchów, nie dostrzega Chochola, dawno zapraszającego się do nas w gości.

Przeżrana polska rozpoczyna się dla niej dopiero we wrześniu: normalne funkcjonowanie IPS'u i Ziemiańskiej zdaje się sugestionować normalność całego polskiego życia. Dramat społeczny i polityczny pozostaje w ukryciu — w konsekwencji rozdziału, poświęconego dniom wrześniowym, będą w książce najstarsze, trafne w drobniaczku, dobre w technice pisarskiej, puste — w rysowaniu istotnego naszego dramatu, mimo wszystko — wojna widziana z limuzyny jadącej do Zaleszczyk, a nie z warszawskiego szpitala, czy uchodźczej szosy.

To nie jest zarzut pod adresem autorki. Nie można winić, że chaotyczny los wrześniowy taką wyznaczył jej drogę. Ale jest natomiast zarzutem, że literatura nie dostrzegła oznak nadciągającej burzy. Że nie wywołała buntu przeciw naszej słabości, nie ostrzegła, nie zapobiegła — ugłaskana przez państwowe i miejskie nagrody, przez pewną grupę wydawców. Słota literatury polskiej, jej apasność, jej bierna narodowość — to także jedna z przyczyn Września 1939.

J. Zdzisław Broncel.

NOWA POLSKA SZTUKA

Polski Teatr Artystów w Nowym Jorku wystawił w reżyserii autora i z dekoracjami Ireny Lorentowicz trykaktową sztukę „Antoniego Cwojdzńskiego”, „Polska Podziemna”. Poniżej przedrukujemy w skróceniu recenzję sztuki pióra Kazimierza Wierzyńskiego, ogłoszoną w nr. 11 nowojorskiego „Tygodnika Polskiego” z dnia 21 marca 1943s

Rzecz rozgrywa się w chałupie chłopskiej pod Krakowem, w roku 1940. Przebywa tam u babki Amerykanka polskiego pochodzenia, Mary. Jest ona jedną jedyną w sztuce osobą, która nie bierze udziału w podziemnej pracy, jednoczącej wszystkich, od chłopów do księdza i panienki ze dworu. Przerażona wojną, daleką od spraw polskich, nierozumiejąca najbliższych, czeka tylko na powrót do domu i wyjazd do Ameryki. Cała sztuka jest w istocie trykaktowym, dyskusyjnym sporem między spiskowcami a neutralną Amerykanką. Na drugim planie, poza tą dyskusją, rozwija się motyw pracy podziemnej: konspiracja, budowa stacji radiowej i przesyłka materiałów, potrzebnych do sabotażu w fabryce niemieckiej. Dopiero jednak finał wybuchu żyłcem: Niemcy wysiedlają wieś, chłopci niszczą dobytek, Mary porwana bohaterstwem walczących staje w ich szeregach i schodzi w polskie podziemie.

Nie wydaje mi się, by tę kontrowersję dramatyczną, w której z jednej strony staje Mary a z drugiej środowisko miejscowe, podstępnie Cwojdzkiemu najsześciwszy instynkt. Przy widowni polsko-amerykańskiej akustyka takiego przeciwstawienia mogła mieć rezonans rzekomy głównie ze względu na bohaterkę. Biedna Mary musiała się czuć jak wróg między swoimi, którzy znowu ukrywali przed nią całą prawdę jak przed najniebezpieczniejszym intruzem. Opozycja wobec niej wydaje się zbyt gwałtowna, mało życiowa, wynika raczej z teoretycznych założeń sztuki. Wyrzuty, że w czasie wojny chce wyjechać z Polski, głoszone wobec sali, która co najmniej w połowie właśnie to zrobiła, mają brzmienie zapewne nieprzewidziane przez autora. Wywody neutralnej Mary są przebrzmiałym echem, i widz napróżno ogląda się za jakimś szekspirowskim napisem nad sceną: „pamiętajcie państwo, że akcja toczy się w roku 1940”.

Mimo tych zastrzeżeń, nurtujących słuchacza, godzi się zaznaczyć, że w dalszym przebiegu sztuki autor wyszedł obroną ręką z trudności, które sam sobie stworzył. Pomógł w tym Cwojdzkiemu wypróbowane doświadczenie, jego rzetelne znawstwo sceny i talent pisarski, który podziwialiśmy już tylokrotnie.

Po dwóch aktach, których słucha się z zacięciem, acz nie bez pewnego oporu wewnętrznego, trzeci nasycza w nas utajone oczekiwania. Wychodzimy poza miniony czas, poza problem sztuki i jego znaczenie, poza popularne założenie utworu, stajemy wobec błyskawicznej wizji wszystkiego, co przeka nasze myśli przy słowach tytułu. Ten poezja, który niszczą chłopską chałupę, niesie z sobą iar i trągim prawdy, ten ogień idzie ze sceny w istocie i zapala ludzi.

Finał ma coś z apoteozy polskości. Kończąca p'esiń, która podnosi całą salę z miejsc, śpiewana razem przez aktorów i przez widownię, leci wtedy przez nas jak gorący wiatr.

Niewiadomo, kto tu kogo przewyższył: Cwojdzki temat czy temat Cwojdzkiego. Dość, że sztuka, zaczęta jako ulubiony jego rodzaj „teorii naturalności”, zmienia tempo, natęenie i nastroj i rzuca nas w sam środek spraw przed którymi zadrzeć musi każde polskie serce. Wiemy o tym, że świetny ten pisarz woli dialektykę od poezji a lekkie od fantazji, ale zdaje nam się, że jest on bardziej bliski namietności, od których stron, niżby chciał się do tego przyznać.

„Halka” w Jerolimie

Bardzo obszerna i „pojemna” sala kina „Edison” była przepełniona. Były rzese uchodźców polskich i wojskowych, stęsknionych do wszystkiego co polskie, co przypomina kraj i przeszłość — było dużo przedstawicieli społeczeństwa miejscowego, które zawsze z wyraźnym sentymentem odnosi się do tego co polskie, szczególnie jeśli chodzi o tych Żydów, którzy tu z Polski przyjeżdżali. Było też dużo ludzi, którzy Polskę nie znają, po polsku nie mówią, ale którzy ciekawili byli tej „Polskiej Opery NNarodowej”, jaką zapowiedzieli afisze. Było też dużo dzieci.

Patrząc na tę publiczność, myślałem co im to przedśawienie dało, z jakim wrażeniem, z jakim poglądem z niego wyjdą? Do plusów należy zaliczyć wdzięk tych młodych twarzyczek, wdzięk młodych głosów w zupełnie dobrze postawionych chórach, temperament i duże wyczucie rytmu w pięknych tańcach. Do plusów zaliczyć też trzeba olbrzymi wysiłek, włożony w wystawienie „Halki” w tych warunkach i tymi siłami.

Ale nie sposób nie stwierdzić, że ze strony kierownictwa naszej junackiej młodzieży, pomysł całej imprezy był pomyłką, był porwaniem się z motyką na słońce, dającym wyniki niewspółmierne male do włożonego w to kapitału wysiłku, pracy i ambicji. Propagandowo takie rzeczy są niefortunne. O ile strona optyczna, widowskowa, stała naogół na wysokim poziomie, o tyle — doskonałe kostiumy; dekoracje w wykonaniu p. Prażmowskiej i T. Terleckiego — pod wzgl. muzycznym dzieło Moniuszki zostało „zarżnięte”: brak orkiestry, brak odpowiednich solistów, konieczne skróty i uproszczenia, zubożyły załość muzyczne walory „Halki”. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że zrobiono krzywdę i Moniuszce, i młodym aktorom, którzy wykazali tyle zapału i tyle artystycznego uzdolnienia. Czyż nie lepiej było wystawić jakieś łatwiejsze, przystępniejsze dla młodzieży widowisko, z głównym naciskiem, połączonym na ludowych tańcach i pieśniach — co zarówno pod względem obiektywnych kryteriów artystycznych, jak i propagandowych, dалоby wyniki nieporównanie lepsze. Wystawienie „Halki” jako przedstawienia szkolnego przez młodzież kadetką i młodsze ochotniczki jest również błędem pedagogicznym: młodzież winno się uczyć szacunku dla dzieła sztuki, wysokich wymagań artystycznych, podlegania się do dzieła sztuki, a nie ściągania go w dół. Lepiej było wybrać rzecz łatwiejszą, do młodego wieku wykonawców przystosowaną, która z tym materiałem można było postawić na najwyższym poziomie — niż zmarnować tyle zapału, wysiłku, i pozytywnych walorów na imprezę, w samym swym założeniu nieudaną tak pod względem artystycznym, jak i propagandowym. em.

PRZEGŁAD POLITYCZNY

Kto słuchał radia w pamiętne dni lata i wczesnej jesieni 1941 r., ten zapewne z audycji niemieckich dobrze pamięta lawinę komunikatów specjalnych „Sondermeldungen”. Normalne komunikaty z kwatery głównej Niemcy mają zwyczaj ogłaszać przez radio raz dziennie, we wczesnych godzinach popołudniowych, ale o wszystkich swych wielkich zwycięstwach woleli obwieszczać światu nie w tych codziennych komunikatach, ale w innych, nadprogramowych, które ogłaszane w towarzystwie tryumfalnych marszów wojskowych samym swym sposobem podania podkreślały niezwykłość, rozmach i — zdawałoby się — nieodpartość zwycięstw niemieckich.

Późną jesienią fala tych komunikatów urwała się. Na krótko powróciła jeszcze w lecie 1942 r. Potem trzeba się było ograniczyć do prozy codziennych komunikatów: Niemcy odnosili w nich jeszcze wielkie zwycięstwa wszędzie tam, gdzie nie jest możliwe sprawdzenie przez postronnego obserwatora: na froncie wschodnim niszczyli dzień w dzień setki samolotów sowieckich, zatapiaли na Atlantyku dziesiątki statków brytyjskich, ale wszystkie te „zwycięstwa” nie mogły ukryć faktu, że na twardym łądzie przestali się oni posuwać naprzód, a na niektórych frontach zaczęli nawet ponosić dotkliwe klęski.

I oto nagle rankiem dnia 5 sierpnia radio niemieckie znów nadało — komunikat specjalny. Donosił on, że — po zniszczeniu całego znajdującego się w mieście sprzętu wojennego — wojska niemieckie w zupełnym porządku wycofały się z Orła.

Czemu Niemcom tak śpieszno było obwieścić światu o upadku Orła? Dlaczego nie chcieli czekać do godzin popołudniowych, aby podać tę wiadomość w zwykłym, codziennym komunikacie? Ogłosili ją przecież jeszcze przed Rosjanami, których ostatni nocny komunikat mówił oprawda o walkach na ulicach miasta, ale jeszcze nie o jego zdobyciu.

Najwyraźniej bał się tego wrażenia, jakie na Niemcach mogłaby wywrzeć wiadomość o upadku Orła, zasłyszana ze źródeł alianckich czy neutralnych. Woleli je uprzedzić i przynajmniej w części zneutralizować przez uprzednie przyznanie się do klęski samemu.

Na pierwszy rzut oka przezorność taka wydać się może przesadna. Co prawda zdobycie Orła jest poważnym sukcesem rosyjskim: Orzeł jest ważnym centrum komunikacyjnym i stał się w ciągu ostatnich dwóch lat silną niemiecką fortecą. Odebranie go oznacza ostateczne pogrążenie niemieckich nadziei ofensywnych na Moskwę przy pomocy manewru kleszczowego: od północy i od południa. Wszystko to prawda, a jednak Rosjanie zdobywali już na Niemcach dużo poważniejsze centra i dużo większe miasta, że wystarczy przypomnieć choćby Rostów i Charków. W porównaniu z nimi Orzeł nie wygląda znów tak imponująco.

Ofensywa na odcinku Orła odebrała Niemcom 5.000 km². Nie jest to mało, ale w warunkach olbrzymich przestrzeni równiny rosyjskiej takie zdobycze terytorialne nie muszą mieć wcale poważnego znaczenia.

A jednak Niemcy mieli zupełną rację, obawiając się wpływu na własną opinię publiczną wiadomości o upadku Orła. Wszystkie bowiem dotychczasowe sukcesy sowieckie miały miejsce bądź późną jesienią, bądź zimą, kiedy roztopy, mrozy, śnieg paraliżowały czołgi i obfity niemiecki sprzęt mechaniczny i kiedy zahartowany i przyzwyczajony do surowych warunków klimatycznych żołnierz sowiecki zyskiwał przewagę nad niemieckim. Orzeł — to pierwszy większy wojenny sukces sowiecki, osiągnięty w samym rozkwicie lata. Dlatego jest taki symptomatyczny.

Jak go tłumaczyć? Czy jakimś znacznym wzmocnieniem potencjału wojennego sowieckiego? Tłumaczenie takie nie wydaje się zbyt prawdopodobne. Straty sowieckie w ludziach są olbrzymie. Rosjanie sami przyznają się do 4.200.000 zabitych i wziętych do niewoli. Nie jest też prawdopodobne jakieś znaczne wzmocnienie się Rosjan w sprzecie wojennym: depesze niedawno donosiły, że ilość sprzętu wojennego, udzielanego ZSRR przez Stany Zjednoczone, została zmniejszona o 39 procent produkcji amerykańskiej, udzielanej Sprzymierzonym na zasadach lease and lend'u, do 21 procent. Wprawdzie w cyfrach absolutnych ograniczenie to nie jest zapewne tak wielkim skutkiem znacznego wzrostu amerykańskiej produkcji wojennej, tym nie mniej, nie ma w jego świetle mowy o wzroście dostaw. Wiadomości, nadchodzące z Rosji, zdają się wskazywać na to, że rosyjski przemysł pracuje obecnie sprawniej i wydajniej niż w ubiegłym roku, ale i to znacznego powiększenia wskaźników produkcji nie można się spodziewać: mobilizacja siły roboczej do przemysłu rosyjskiego już w ub. r. zdawała się osiągać swoje ostateczne granice. Nie bardzo wiadomo, skądby Rosjanie mogli czerpać obecnie nowe kadry robotnicze.

Przyczyn sukcesu rosyjskiego pod Orłem należy zatem szukać gdzie indziej: w szybko postępującym osłabianiu się niemieckiego potencjału wojennego. Potwierdza ten wniosek obserwacja frontu śródziemnomorskiego: zdobycie Tunisu kosztowało Sprzymierzonych dużo mniej czasu od zdobycia Cyrenajki i Trypolitanii; kampania syryjska trwała dużo krócej od tuniskiej.

Wszystko to wskazuje na to, że ostateczne załamanie się Niemiec może przyjść dużo szybciej, niż się tego dotychczas spodziewali.

„To gorsze niż Warszawa”

Harold Nicolson pisał na temat skutków bombardowania Niemiec w numerze z dn. 2 lipca b. r. londyńskiego tygodnika „The Spectator”. Artykuł powstał z okazji wystawy zdjęć bombardowanych miast niemieckich, jaką dla członków Parlamentu Brytyjskiego zorganizował R.A.F. w Londynie. Wystawa ta, na której zdjęcia oglądane były przez specjalne aparaty stereoskopowe, pozwoliła uczestnikom w sposób szczególnie plastyczny uzmysłowić sobie ogrom dokonanych zniszczeń, o których zwykłe fotografie, ogłaszane w dziennikach, dają tylko bardzo sumaryczne i niedoskonałe pojęcia. „Patrząc na te zdumiewające fotografie, wcale się nie było zdziwionym, że dr. Goebbels mógł stracić wszelką nadzieję na pomniejszenie okropnych spustoszeń i wybuchnąć takim samym wyciem, jak po Stalingradzie. „To gorzej niż Warszawa”, wykrzyknął pewien niemiecki speaker w wymownym, choć szczególnie nierozważnym zdaniu. To gorzej, ponad wszelkie ludzkie pojęcie. Patrząc na te zdjęcia, na łagodnych łotników, którzy nas oprowadzali: „Czy pan to zrobił? A może pan? Albo pan?”

„Mam nadzieję — pisze w dalszym ciągu Nicolson — że ta niesamowita wystawa zostanie w jakiejś formie otwarta dla publiczności. Przekona ją, jak sądzę, o trzech rzeczach. Po pierwsze, że spustoszenie, wyrządzone zakładom amunicyjnym i innym obiektom wojskowym, jest tak olbrzymie, iż „prawdopodobnie” w wysokie straty, bez jakich nie mogłoby być dokonane. Po drugie, że szkody wśród własności prywatnej wywołane są raczej przez ogień niż przez bomby burzące i że jest rzeczą mniej straszną wypędzać robotników z zakładów amunicyjnych z ich płonących domów, niż zabijać ich w piwnicach. A po trzecie, jak to już pisałem kilka tygodni temu, iż lekcja, jakiej się w ten sposób udziela narodowi niemieckiemu, jest bardziej zbawienna i bardziej trwała od każdego innego zabiegu wychowawczego, jaki tylko moglibyśmy wymyślić. Nie sądzę, aby ktokolwiek, kto przyszedł się tym fotografom i kto przyszedł chwilać się atakom szalu i strachu radia niemieckiego, mógł wątpić, że ta Bitwa o Ruhrę jest w rzeczywistości drugim frontem i że dezorganizacja, jaką wywołała i jeszcze wywoła, musi kępować, a prawdopodobnie i sparaliżować nadzieje na jakąkolwiek większą ofensywę na Wschodzie. Nie sądzę też, aby ktokolwiek z Niemców, który zwiędzi teraz tereny Ruhrę, mógł łatwo wybaczyc przywódcom nazistowskim, że tak nieodpowiedzialnie pogrążyli ich w wojnie i że tak tragicznie pomylili się w planowaniu i w strategii wojny powietrznej.

A. B. C. A.

A.B.C.A. — to Army Bureau Current Affairs, instytucja, poświęcona zagadnieniom informacji i popularyzacji wiedzy w armii brytyjskiej. Poświęca jej ciekawy artykuł informacyjny kairski tygodnik francuski „La Marseillaise” w numerze z dnia 1 sierpnia b. r.

A. B. C. A. zostało stworzone jesienią 1941 r. Należą do niego na oficerów armii brytyjskiej obowiązki poświęcające przynajmniej jednej godzinie tygodniowo na dyskusję na tematy aktualne: „Plan, opracowany przez Ministerstwo Wojny, polega na wyzyskaniu istniejącej organizacji armii, a więc wspólnego życia pod rozkazami wodzów, aby pobudzić umysły ludzkie, pomóc im w śledzeniu ogólnego rozwoju wojny i w zrozumieniu tych zasadniczych problemów, jakie świat stara się dzisiaj rozwiązać. Koncepcja z gruntu demokratyczna: A. B. C. A. wzięło sobie za zasadę powiedzenie Cromwella, że „dobrym żołnierzem jest ten, kto zna sprawę, za którą się bije, i kto kocha to, co zna”.

A. B. C. A. wydaje dwa dwutygodniowe biuletyny. Jeden z nich, zatytułowany „War” („Wojna”), dostarcza informacji na tematy wojenne. Znajdujemy w nim przede wszystkim opisy kampanii wojennych, skomentowanych z punktu widzenia historycznego i strategicznego. Drugi biuletyn, zatytułowany „Current Affairs” („Sprawy bieżące”), przynosi informacje natury ogólnopolitycznej.

Każdy porucznik, dowódca plutonu, ma obowiązek zorganizowania dyskusji wśród żołnierzy. Instrukcje podkreślają, że nie powinno się to odbywać w warunkach albo w formie, któreby utrudniały rozwinięcie się swobodnej dyskusji. Zadaniem oficera jest tu nie wygłaszanie do żołnierzy przemówień czy też udzielanie im lekcji, ale organizowanie swobodnych dyskusji.

A. B. C. A. rozszerzyła swą działalność z wojsk lądowych na marynarkę, lotnictwo, Home Guard i pomocniczą służbę kobiecą. Artykuł przytacza tytułem przykładu szereg tematów dyskusji: „Braki demokracji”, „Czy zasługujemy na nasze imperium?”, „Urbanizm”, „Jak zorganizować oświatę?”, „Niektóre raporty — czytamy w artykule — idą tak daleko, iż twierdzą, że jednostki o duchu najbardziej bojowym, to te które się najbardziej pasjonują tego rodzaju problemami”.

Działalność A. B. C. A. ogromnie ożywiła zainteresowania dla problemów intelektualnych w wojsku brytyjskim, zwłaszcza jeśli idzie o zagadnienia polityki zagranicznej. Powstały liczne grupy dyskusyjne, wzmogła się w obozach ilości cywilnych gazet i tygodników, ilustrowanych bogatymi mapami i diagramami, potworzyły się koła lektury. W porozumieniu z uniwersytetem Londyńskim A. B. C. A. zorganizowała też w lecie ub. r. specjalne czterotygodniowe kursa dla żołnierzy kanadyjskich.

Czy Europa może stać się jednolitym organizmem politycznym?

Energicznym „nie” odpowiada na to pytanie Frans van Cauwelaert w marcowym zeszycie belgijskiego miesięcznika, wychodzącego w Londynie, „Message”.

„Ci którzy myślą, iż jest rzeczą możliwą stworzenie po tej wojnie autonomicznej europejskiej organizacji politycznej i którzy chcą stworzyć z takiej Unii Europejskiej jeden z kamieni węgielnych nowego porządku międzynarodowego, dają się powodować niebezpiecznemu złudzeniu. Europa może być zjednoczona tylko pod rozkazami jakiegos wladcy, i wladca tym może być tylko niemiecka Rzesza. Niemcy starają się obecnie osiągnąć supremację siłą, drogą rozlewu krwi. Jeśli zostaną pobici i jeśli Europa zmuszona będzie do zorganizowania dla siebie samodzielnej gospodarki i politycznej egzystencji w ramach pew-

nych sztucznie zakreślonych granic, Niemcy osiągną ten cel za pomocą zdolności do intrygi”.

Zdaniem autora, dążność Niemców do supremacji jest główną przeszkodą polityczną, uniemożliwiającą stworzenie jakiegokolwiek Unii Europejskiej: hitleryzm nie jest ideologią nielicznej tylko i odizolowanej w narodzie niemieckim grupy, jest on wyrazem dążeń, które nurtowały w tym narodzie przez cały wiek XIX: wyznawcami doktryny dominacji byli Fichte, Herder, Liszt, Wagner, Nietzsche, Treitschke, Bernardi, Ludendorff.

Także i pod względem gospodarczym Unia Europejska byłaby tworem sztucznym: „Co więcej, wszelka próba zakreślenia ekonomicznych granic zjednoczonej Europy natrafiałaby znowu na trudności nie do pokonania. Nie mogłaby włączyć Francji bez Afryki, Rosji bez Azji, Holandii bez morza, a Anglii bez całego świata”.

Lepsze warunki naturalne widzi już autor dla Unii Atlantycznej, która by jednoczyła wszystkie państwa na obu wybrzeżach Atlantyku.

Labour Party i komuniści brytyjscy

Odrzucenie przez Egzekutywę Labour Party olbrzymią większość głosów propozycji brytyjskich komunistów przyłączenia się do Labour Party komentuje londyński „Times” z dn. 16 czerwca 1943 r. w sprawozdaniu z posiedzenia Egzekutywy. Wniosek za odrzuceniem uzasadniał G. Ridley, członek Izby Gmin: „Powiedział on, iż w ciągu ostatnich kilku tygodni politycy brytyjscy są świadkami jeszcze jednego z tych ostreych ogień, które stały się tak charakter-

„EN VARSOVIA”

Jedno z czasopism hiszpańskich zamieszcza niedawno reportaż Lambertiego Sorrentino, p. t. „En Varsovia” z życia Warszawy okupowanej. Reportaż ten podajemy w tłumaczeniu dosłownym.

Wychodząc z hotelu, oddajemy klucz portierowi, który pilnie studiując kwity kwaterekunkowe żołnierzy niemieckich. Na ławce obok śpi olbrzymi szary kot. Oficerowie niemieccy wchodzą i wychodzą. Zapadła wieczór i robiło się wilgotno. Przed hotelem stał samochód, cały pokryty kropkami wody. Dął silny wiatr. Na ulicach zapalały się latarnie. Otoczyła nas gromada dzieci pod wodzą przystojnej i natarczywej małej diablicy. Przemawiali do nas niezrozumiałym dla nas językiem, którego znaczenie wytłumaczyła nam towarzysząca słowom gestykulacja. Mój przyjaciel dał im parę papierosów i przyniósł im po chwili kilka ciastek, poczem dopiero dzieciaki dały nam spokój.

Oświetlone wystawy sklepów pokazywały swe towary. Przed sklepem jubilerskim stała grupka ludzi, zapatrzonych w wystawę. Było tam kilka pierścionków, srebrna papierosnica, kilka wisiorów oraz trochę starej biżuterii, pamiętającej dobre, dawne czasy. Ze sklepu wyszedł szybko klient (a może to nie klient, a sprzedający?), minął grupkę wpatrzonych w wystawę i znikł w ciemnościach. Obok był zakład fryzjerski. Widać było dwie zmęczone manikurzystki, niebardzo schludnie wyglądające, pochylone nad reklamami dwóch żołnierzy „SS”. Jedna z nich podniosła oczy, aby popatrzeć się na zegar ścienny, i wtedy zauważyłem, że ma jasne i wilgotne oczy. Oficer niemiecki rozkoszował się mieniem głowy. Po czarnej pianie szamponu można było wywnioskować, że przybył on z daleka i że dawno głowy nie mył. Ustupając rozbieganemu chłopakowi, potrącił się niechcący staruszką. Kiedyśmy ją podtrzymywali aby nie upadła, trzymała się nas kurczowo, tak że musieliśmy ją podprowadzić pod ścianę, aby mogła przejść do siebie.

Słuchaliśmy już na dobre. Słychać było głosy radiowe, które podawały po polsku i po niemiecku najważniejsze wiadomości z frontów, przeplatane muzyką wojskową. Rzadko świeca lampy uliczne, zamiast dawać więcej światła, potęgowała raczej ciemność. Samochody wojskowe, przebiegające ulicę z pełnymi światłami, pokazywały nam na chwilę piękno miasta. Ludzie szli tuż pod murami domów. Głosniki znowu zahuczały, opowiadając o nowych zwycięstwach na frontach, upiększając swój program piosenkami. Przejedźdżając samochodem tak mnie oślepił, że musiałem trzymać się mego przyjaciela, aby się nie zgubił. Zaczął padać ulewny deszcz.

„Nur für Deutsche” czytamy po kilkadziesiąt razy przed wejściem do restauracji, kin, kawiarni. Tylko dla Niemców i, ma się rozumieć, także dla ich alianów. Zachodzimy do „Bachusa”, który kiedyś był restauracją smakoszów, teraz zaś uczęszczają tam tylko żołnierze niemieccy i kobiety, oczywiście nie Polki. Polakom nie tylko że zabroniono uczęszczać do lokali, zarezerwowanych dla Niemców, lecz zabronione im jest wogóle utrzymywanie jakiegokolwiek kontaktu ze zwyczajnymi. Gośćmi „Bachusa” są teraz także niemieckie telefonistki, siostry Czerwonego Krzyża i całe kohorty nowoprzybyłych, którzy objeli po Polakach różne interesy, dobre stanowiska i t. p. Każdy wchodzący do restauracji składa ukłon obojczy sali, wszyscy mu odpowiadają też lekkim ukłonem lub też spojzeniem. Sale restauracji przepojone są silnym zapachem gotowanego masła, kapusty i potu; lechca nasze nozdrza zwiędłe zapachy perfum, pomieszane z zapachem pasty do butów, i nóg. Powietrze jest skisłe, a światło, padające z nielicznych lamp, gubi się w oparach Kelnerzy w białych kurtach wyglądają w tej atmosferze jak widma.

Wręczamy kelnerowi całą skomplikowaną masę zielonych kwitków jedeniowych, za co dostajemy danie, złożone z mięsa koloru brązowego, kapusty, złotych kartofli, kufel piwa, serwetkę papierową i szary chleb. Jedzenie, piwo a nawet papierosy mają wszystkie ten sam zapach, co cała restauracja. Przy sąsiednim stole wybuchały salwy śmiechu.

Padła ulewny deszcz, co możemy wywnioskować po wyglądzie nowo przybywających, którzy, otrząsając swe płaszcze, pozostawiają na podłodze mokre ślady butów. Pewna pani ociera się chustką w białe i czerwone kraty, którą jej usłużył podał jej towarzyszy, oficer niemiecki. Wpada ona do restauracji bez tchu, a jej zielona bluzka podnosi się rytmicznie nad obfitymi piersiami w tak: oddech. Przed wypiciem piwa ukarmiowała sobie jeszcze usta i roztarła na dłoni trochę perfum zapachu jaśminu. Jakiś młodzieniec siedzi samotnie przy piwie i rysuje. Znowu zachłozą radio, wy-

styczne dla Partii Komunistycznej i czynią z niej obiekt cynicznego zaślepienia. Logicznie rzecz biorąc, miałyby ona teraz tylko jedną decyzję przed sobą: — rozwiązać się jako bezdomna jednostka rozwiązanej już organizacji centralnej.

Jedno z dwojga. Albo postępowanie Partii Komunistycznej w latach 1939, 1940 i w początkach 1941 było jej narzucone, a w takim razie zredukowała się ona sama do roli politycznego karia najgorszego gatunku, albo też postępowanie takie było rezultatem jej własnej decyzji, osiągniętej metodami demokratycznymi, a w takim razie mogłaby scharakteryzować je tylko jako straszną decyzję i straszny przykład postępowania. W momencie najstraszniejszej ostateczności, kiedy gra szła o wszystko, w co Labour Party wierzyła, komuniści okazali zupełną obojętność na to, czy wygramy, czy przegramy. Osiągnęli oni taką głęboką poniższość, jaka w polityce była dotąd chyba nieznaną.

Nawet jeśli Partii Komunistycznej wolno teraz było być lojalną wobec Labour Party, czyż dowiodła ona cokolwiek, że chciała być lojalną? Całkiem przeciwnie, oczerniała ona przywódców ruchu, starając się podkopać, osłabić i zniszczyć ich możliwości reprezentowania ruchu i autorytet; przedstawiała ich jako fałszywych, przekupionych przywódców robotniczych, lokajów imperializmu, socjalfaszystów, lokajów faszyzmu. Było dla nich rzeczą niemożliwą uwierzyć, że ludzie, którzy dotychczas w tak plugawy sposób sztychli z nich, chcieliby z nimi pracować w atmosferze lojalności i koleżeństwa.

dając z siebie potok twardo brzmiących słów, obrywając nimi salę. Znowu wiadomości z frontów; padają nazwiska Roosevelta i Churchilla, upiększone odpowiednimi epitetami.

Wychodzimy na deszcz, pogrążając się w nieśpokojne i zalekane miasto. Na pierwszy rzut oka może się wydawać miastem normalnym, lecz nas, bywalców, żadne pozory nie zawiada, bo rozumiemy jego intymny język. Ciemności zasłaniają rany, zadane mu przez wojnę, w jego szlachetnych i starych murach. Odnosimy wrażenie, że jakby dopiero pod zasłoną deszczu miasto kontynuuje swe wieczne życie Warszawy o trzystu kościołach i pałacach w stylu zachodnim.

Warszawa, to najdalszy bastion na wschodzie Europy chrześcijańskiej, i tutaj też są ostatnie omentarze z krzyżami nad grobami. W czasach kiedy nie panowały armaty, szlachetność Europy łączyła się tutaj z gracją, używanie z przyjemnością. Na każdej ulicy był własny lokal. Widać było przystojne panie, pełne życia, o długich nogach, noszące z gustem modele paryskie i bawiące się do rana po różnych kafeletach. Każdy z kafeletów posiadał swoją dobrą orkiestrę. Wszystkie są czynne w dalszym ciągu, a jest ich jedenaście. Deszcze leje jak z cebra i pada nam za koinerze.

Idziemy z Albertem do „Adria” („das beste Lokal in Warschau”), odczytujemy po drodze nazwy kawiarni, oglądamy wejścia do tawern, strzeżonych przez portierów we wspaniałej liberii. Mijają nas kobiety w lśniących od deszczu płaszczach nieprzemakalnych, które dostawczy się w ostre światło przejeżdżającego samochodu, szybko podchodzą pod mury lub chowają się, przestraszone, w bramy domów.

Żołnierze niemieccy, zawsze parami, przechodzą swym charakterystycznym krokiem, którego stukot rozbrzmiewa od granicy hiszpańskiej aż po front rosyjski. Miasto robi wrażenie, że kapie się w deszczu. Pytamy się o drogę, że dwadzieścia razy skracając według otrzymanych wskazówek, czujemy naokoło nas gościnność tego miasta i to, że chce ono nam opowiedzieć tysiące ze swych przeżyć.

W tych ciemnościach wilgotnych wszystko jest dla nas jasne, nasza wrażliwość wyczuwa to wszystko, co nie dałoby się powiedzieć słowami. Słowem, zrozumieliśmy podczas tego spaceru morwę Warszawy. Słyszmy do kabaretu „nur für Deutsche”. Pouczono nas przedtem, że chodzenie do lokali uczęszczanych przez Polaków jest złe widziane, tego okupanci nie lubią. Warszawa opowiadała nam o tym co było, co jest i o tym co będzie.

Historia rozdziela role i zmienia je, a dopiero po wiekach odkrywamy stosunek jednej do drugiej, hierarchię protagonistów. W taki sposób harmonizuje się bieg wydarzeń, którego rezultaty dadzą się osądzić. Była to sobota, i w miarę naszego nocnego spaceru słyszeliśmy coraz to więcej muzyki, wydobywającej się z przyciemnionych okien domów. Były to melodie albo bardzo wesole, albo bardzo smutne, jak i szlagiery wojenne „Bel Ami” i „Lili Marlène”. Przy wejściu do „Adria” natknęliśmy się na całe towarzystwo niemieckich żołnierzy, którzy stojąc na deszczu wyglądali bez zarzutu i czekali na swą kolej wejścia.

„Adria” to kabaret jak każdy inny. Połowa publiczności — to wojskowi. Pomimo że byliśmy nieogoleni od kilku dni, dano nam stołek w pierwszym rzędzie, skąd przysiadaliśmy się do skomponowanego programowi kabaretowemu, którego numerów nie powstydziliby się ani paryski „Monseigneur”, ani „Tabaris” w Buenos Aires. Piliśmy jakąś wódkę bez alkoholu, albo krajowe wino czerwone bez żadnego smaku.

Jedno było pewne, że to nie alkohol podniecał publiczność. Robiła to raczej bardzo przystojna tancerka, która tańczyła z gołymi piersiami, wysoka zgrabna brunetka.

Przyłączyłem się do grupy oficerów lotników, z których jeden znał trochę włoski ze swego pobytu w Libii. Zaprosił mnie on do swego stolika, widząc, że mój przyjaciel wyszedł. Weselność niemiecka bardzo się udzieliła innym, potęgowała jeszcze przez braterstwo, które można wyczytać w oczach sąsiada. Słowo „Kamerad”, które chociaż należy do twardego języka, przestacza się w pieszczotę, kiedy wymawia je Niemiec.

Słowo to urodziło się zapewne po jakiejś bitwie, lecz jestem pewny, że w obliczu szklanki wina.

Adres Redakcji: Polish Information Centre, Jerusalem, Bezalel Street, House Valero.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press

Nowość

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI
BAGNET NA BRON

Poezje 1939-1943

Cena: 150 milsów.

Na papierze czerpanym: 250 milsów.

Do nabycia:

w Jerozolimie: księgarnie „Igarta”, Steimatzky, Ever, „Universitas”, Hasefer, kiosk Egged.

w Tel-Avivie: księgarnie „Renaissance”, „Mikra”, „A.B.C.”, Siegel; kiosk Stadler.

Skład główny:

Wydawnictwo „W Drodze”, Jerozolima.